

<http://misyjnym-szlakiem.pl>

MISYJNYM SZLAKIEM

JEZUICKI INFORMATOR MISYJNY

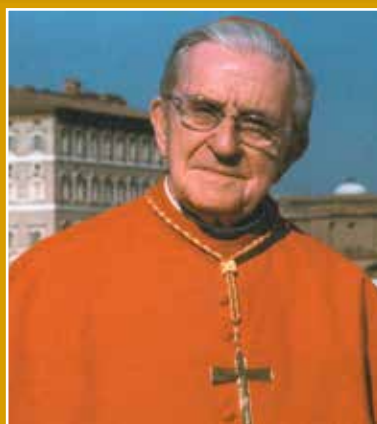
2020/1(21)

ISSN 2083-151X



UWAGA!
NOWY KONKURS
patrz str. 34

**DZIAŁALNOŚĆ MISYJNA JEZUITÓW
PROWINCJI POLSKI POŁUDNIOWEJ**



Życzenia świąteczne 3

DZIAŁALNOŚĆ MISYJNA JEZUITÓW PROWINCJI POLSKI POŁUDNIOWEJ

MADAGASKAR

O. Tadeusz Kasperczyk SJ

Formacja młodzieży rolniczej gwarancją pracy
i postępu..... 4

O. Józef Pawłowski SJ

By godnie zastąpić wielkiego Rodaka 8

MALAWI

O. Gerard Karas SJ

Zjazd studentów nad jeziorem Malawi..... 10

O. Ludwik Zapala SJ

Nowa misja, nowe wyzwania 14

ZAMBIA

PIONIERZY MISJI ZAMBIJSKIEJ SYLWETKI MISJONARZY

Br. Józef Boroń SJ

Krótki rys historii jezuickich misji
w Zambii, cz. IV 16

O. prof. dr hab. Ludwik Grzebień SJ

Ks. kardynał Adam Kozłowiecki SJ.
Biografia z wywiadów i listów, cz. II..... 19

Robić swoje, wynik powierzyć Bogu.

Archiwalna rozmowa z Adamem

Kozłowieckim SJ, cz. II 22

WSPÓŁCZEŚNI MISJONARZE

O. Andrzej Leśniara SJ

Pocztówka z Zambii 25

O. Andrzej Leśniara SJ

Afrykańskie Boże Narodzenie 26

ŚLADAMI BŁ. JANA BEZYMA

O. Mieczysław Bednarz SJ

Jana Beyzyma SJ miłość do Ojczyzny 28

O. Józef Pawłowski SJ

Świętowanie w Maranie 29

KONKURS LITERACKO-PLASTYCZNY

Nagrodzone prace cd. 32

NOWY

OGÓLNOPOLSKI KONKURS LITERACKO-PLASTYCZNY

Dla dzieci, młodzieży i grup rodzinnych:

„Beyzym – kto to taki?” 34

LISTY Z KRAJÓW MISYJNYCH

O. Joël Parfait Raderandrany OFMCap

Pogłębiające się ubóstwo 35

PODZIĘKOWANIA

List o. Tadeusza Kasperczyka do Darczyńców..... 38

LISTY DZIECI

MADAGASKAR

Larissa

List z sierocińca Sióstr św. Jana Chrzyciciela

w Fianarantsoa 39

MALAWI

Zaitwa Banda

List w imieniu sierot w parafii Kasungu 40

WSPÓŁPRACA W DZIAŁALNOŚCI NA RZECZ MISJI

O. Grzegorz Dobroczyński SJ

Misja w sercu Afryki. Wolontariat:

Projekt Zambia..... 41

Urszula Gawron

Zambijskie wspomnienia – widziane bez „okularów”
misjonarza 46

WYDAWCA



**Pismo Referatu Misyjnego
Prowincji Polski Południowej**

Towarzystwa Jezusowego

ul. Kopernika 26, 31-501 Kraków

<http://misyjnym-szlakiem.pl>

<http://misje-jezuickie.pl>

<http://adopcjaserca.org.pl>

<http://beyzym.pl>

e-mail: misje@misyjnym-szlakiem.pl

procmisspme@gmail.com

„Adopcja Serca”: adopcjasercams@gmail.com

nakład: 8 000 egz.

Zespół redakcyjny: Paulina Dąbrowska-Dorożyńska (red.),
Joanna Nowak (rubryka dla dzieci)
Andrzej Sochacki (opracowanie graficzne),
Katarzyna Stokłosa (red. i korekta),
Czesław H. Tomaszewski SJ (red. naczelny)

Zdjęcia: Archiwum Prowincji Polski Południowej
Towarzystwa Jezusowego,
Biblioteka Naukowa Księży Jezuitów w Krakowie,
G. Dobroczyński SJ, Wolontariusze Projektu
Zambia 2019,
U. Gawron w artykule: *Zambijskie wspomnienia*,
G. Karas SJ, T. Kasperczyk SJ,
A. Leśniara SJ, L. i Z. Michalak,
J. Pawłowski SJ, J.P. Raderandrany,
T. Świdzki SJ, L. Zapala SJ

*Niech w święto radosnej Paschalnej Ofiary
składają jej wierni uwielbień swych dary.
Odkupił swe owce Baranek bez skazy,
pojednał nas z Ojcem i zmył grzechów zmaży.
Śmierć zawarła się z życiem i w boju, o dziwy,
choć poległ Wódz życia, króluje dziś żywy. [...]
Wiemy, żeś zmartwychwstał, że ten cud prawdziwy,
o Królu Zwycięzco, bądź nam miłościwy.*

(fragment Sekwencji Wielkanocnej)



Istotą tajemnicy paschalnej jest Miłość, Miłość Boga do człowieka, którego stworzył. A więc do każdej ludzkiej istoty, także tej jeszcze nie narodzonej, lecz już poczętej i rozwijającej się pod sercem swej matki. Niezależnie od jej położenia, statusu społecznego, niezależnie od tego, kim jest i jaka jest. Miłość ta nie ma żadnych ograniczeń. Bóg, który sam jest MIŁOŚCIĄ, kocha człowieka całym sobą. Kocha go i chce jego szczęścia, które tylko On sam może człowiekowi podarować! Chrystus umarł za nas „z miłości”: „Umiłowawszy swoich na świecie, do końca ich umiłował” (J 13,1); „Chrystus was umiłował i samego siebie wydał za nas w ofierze” (Ef 5,2) – to znaczy umarł za nasze grzechy. Jezus z miłości do nas umarł za nasze grzechy i zmartwychwstał dla naszego zbawienia. I to jest sedno paschalnego przesłania, które wymaga naszej wiary.

Chrystus po swoim zmartwychwstaniu wielokrotnie spotyka swoich uczniów, daje się im poznać i pyta ich, czy wierzą. Tych, którzy widzieli Go przybitego do krzyża, widzieli Go w agonii na krzyżu, a później składali Jego Ciało do grobu. Czy wierzą, że On naprawdę żyje, bo zmartwychwstał? Jak kiedyś powiedział do Marty w Betanii, oplakującej swojego brata Łazarza, który już od czterech dni leżał w grobie, zanim Jezus przywrócił go do życia ziemskiego: „Ja jestem zmartwychwstaniem i życiem. Kto we Mnie wierzy, choćby i umarł, żyć będzie. Każdy, kto żyje i wierzy we Mnie, nie umrze na wieki. Wierzysz w to?” (J 11,25–26). Pan Jezus, powtarzając nam te słowa, szczególnie poprzez tajemnice paschalne, które niebawem będziemy rozważać i przeżywać, pyta każdego z nas: „Czy wierzysz w to?”. Co Mu odpowiemy?

**DRODZY DARCYŃCY,
PRZYJACIELE MISJI,
SZANOWNI PAŃSTWO!**

Niech to pytanie Jezusa ciągle nam towarzyszy w naszych myślach, chwilach refleksji, na modlitwie: „Czy wierzysz? Czy wierzysz, że zmartwychwstałem, zwyciężając zło i pokonując śmierć? Czy wierzysz, że żyję i jestem obok ciebie, choć Mnie nie widzisz oczyma ciała? Ja zawsze tu jestem, towarzyszę ci, chcę ci pomagać, bronić cię i prowadzić do mojego Ojca, do szczęścia w niebie –

bo cię kocham. Kocham cię tak bardzo. Czy tego nie widzisz? Życie oddałem za ciebie i dla ciebie. Uwierz w to, nie tylko «teoretycznie», bo tak trzeba, bo inni tak robią, ale również praktycznie, tj. całym twoim życiem. Przychodź do Mnie. Ja na ciebie czekam: w Słowie Bożym, aby cię pouczyć, w sakramentach szafowanych przez mój Kościół, aby cię umacniać i ze sobą jednoczyć. Szczególnie czekam na ciebie u krtek konfesjonatu, gdzie w widzialny sposób mój sługa – kapłan chce pojednać cię ze Mną, a potem cię nakarmić moim Ciałem przy eucharystycznym stole, podczas Mszy św. Przychodź do Mnie, nie bój się. Tak bardzo cię kocham i chcę cię mieć kiedyś w Domu mojego Ojca na zawsze”.

Szanowni Państwo, żyjemy w bardzo trudnych czasach. Gdy próbuje się odebrać nam to, co dla nas najistotniejsze: zburzyć, wyrwać z naszych serc wiarę, którą przekazali nam nasi Rodzice, Przodkowie. Próbuje się wypaczyć, przeinaczyć, zdeformować Boże święte prawo – przykazania Boże wszczepione przez Stwórcę w nasze serca – i zastąpić je bezsensownymi przepisami, regułami, zasadami, „prawidłami” wymyślonymi i sformułowanymi przez człowieka. Burzy się porządek i ład moralny w społeczeństwie, zmusza do tzw. świeckości w imię źle pojętej wolności i demokracji. Potrzeba nam wiele siły, hartu ducha, wytrwałości i wierności Chrystusowi w Jego Kościele.

I właśnie tej duchowej siły, wytrwałości i wierności Państwu życzę. Niech Chrystus Zmartwychwstały napęlni serca wszystkich swoich wiernych łaską i pokojem. Niech Państwu błogosławi, strzeże i prowadzi w swoim Kościele i poprzez Kościół, którego jesteście członkami.

Dużo radości i Chrystusowego pokoju w sercu, bo Chrystus prawdziwie zmartwychwstał! Alleluja!

Ms. G. H. T. Guesserli

DZIAŁALNOŚĆ MISYJNA JEZUITÓW PROWINCJI POLSKI POŁUDNIOWEJ

MADAGASKAR

FORMACJA MŁODZIEŻY ROLNICZEJ GWARANCJĄ PRACY I POSTĘPU

DRODZY PRZYJACIELE

Niedługo minie rok od mojego ostatniego urlopu w Polsce i jeśli dni dalej tak szybko będą uciekać, to nie zdążę się „zmęczyć” do momentu, kiedy kolejny raz trzeba się będzie udać w podróż. No cóż, chyba wszystkim czas szybko płynie, a jeśli na liczniku pojawi się następnych „-dziesiąt” lat, to wszystko jeszcze bardziej zaczyna przyspieszać.

PŁONĄCE PRERIE

Wydawało mi się kiedyś, że już nic mnie nie zaskoczy. Często zastanawiałem się, o czym pisać. Wszystko przecież jest takie oczywiste, normalne. Jednak nawet po 33 latach pracy pojawia się coś, co może zaskoczyć nawet najstarszego misjonarza.



Feux de brousse – płonący busz.

Sierpień to środek sezonu płonących lasów (*feux de brousse*), jeśli tak można powiedzieć, ponieważ obecnie wypalanie traw trwa prawie cały rok, niemal na okrągło. Nie ma dnia, żeby nie było widać dymów snujących się po widnokręgu, a wieczorem łuny na niebie. Często rano na podwórzu leżą spalone żdźbła trawy, które przynosi nocny wiatr. To smutny owoc spalonych dziesiątków hektarów prerii. Ale na to prawie nikt już nie reaguje. Czasem mnie dziwi ogień rozprzestrzeniający się nawet wysoko w górach. „Podziwiam”, że komuś chce się wspinać tak wysoko, by podłożyć tam ogień.

RABUSIE BYDŁA

Pora sucha to czas „gorliwej” pracy *dahalo* (czyt. *dahalu*), to znaczy rozbójników i złodziei *zebu*. *Zebu* to lokalne bydło, a zarazem bogactwo Madagaskaru i malgaskich rolników. Kilka dni temu około dziewiętej wieczorem, gdy pojawił się ogień, pomyślałem, że ktoś znów podpalił trawy, ale jak się okazało rano, to sąsiednia wioska została zaatakowana przez owych złodziei bydła. Taką mają taktykę: by odwrócić uwagę, podpalają w pobliżu jakiegoś gospodarstwa trawy i kiedy mieszkańcy wioski usiłują stłumić ogień, oni spokojnie opróżniają zagrody z bydła i „szukaj wiatru w polu”. Jednak tym razem to nie były trawy, a odległy o kilkanaście metrów od wioski, wolno stojący dom, podobnie jak inne kryty strzechą. Z podpaleniem suchej słomy nie było problemu.



W drodze na pastwisko. Na Madagaskarze byki (zebu) hoduje się przede wszystkim dla siły roboczej. Używa się ich:



...jako zaprzęg do ciągnięcia wozu...



...do pługa jednoskibowego, przy pokładaniu pola ryżowego...



...do przygotowania ryżowiska, deptania i tworzenia masy błotnej.

Jakiś czas temu w ciągu roku nawet kilka razy w tygodniu słychać było w nocy wołanie *vonjeo* (czyt. wundzeu) – „ratunku”, a nieraz i strzały z karabinu. Któregoś dnia spotkałem komendanta żandarmerii (to formacja policji pracująca w terenie, poza miastem) i zapytałem, co zrobić, by w tym regionie móc stworzyć posterunek, aby ludność mogła liczyć na ich pomoc i przestała się już tak bać. „Trzeba żandarmom zapewnić lokum i wyżywienie” – odpowiedział. Kiedy podzieliłem się tą wiadomością z mieszkańcami sąsiednich wiosek, ucieszyli się i już chcieli budować domek dla żandarmów. Ale właśnie nadeszła pora deszczów, więc wszystko się uspokoiło i mieszkańcy zapomnieli o swoich planach.

Do czasu jednak, bo z kolejną porą suchą złodzieje znów dadzą znać o sobie. Dlatego nie czekałem, aż mieszkańcy wiosek zrealizują swoje postanowienia i zaproponowałem żandarmom tymczasowe lokum, w którym się zainstalowali. Cóż z tego, kiedy ciągłe napady na wioski i kradzieże bydła zmuszają ich do pogoni za złoczyńcami. Poza tym, czy dwóch żandarmów może stawiać opór kilkunastu czy nawet kilkudziesięciu uzbrojonym bandytom?

BRAK EDUKACJI I POWSZECHNA NĘDZA

Inny problem, który dotyka miejscową ludność, to brak wykształcenia mieszkańców wiosek. Już pisałem o szkołach i w ogóle oświacie na Madagaskarze – w miastach wygląda to jeszcze jako tako, ale na wieś edukacja zdaje się nie docierać. I tu jest cały problem, bo ludzie kierują się tym, co przekazali im rodzice, którzy też byli analfabetami, i koło się zamyka. Lubię słuchać, kiedy dyskutują między sobą na różne tematy, ale czasem jest to przerażające. Ich życie napiętnowane jest strachem, gusłami, przeróżnymi wierzeniami. Radzą sobie, jak mogą, i każdy stara się zdobyć dla siebie jak najwięcej. Można powiedzieć, że nie liczy się dobro wspólne. Ale to oznaka nie ubóstwa, a głęboko zaawansowanej nędzy spowalniającej rozwój tego pięknego kraju.



Dom malgaski w buszu. Tak mieszka większość społeczeństwa wiejskiego i podmiejskiego.



Dzieci sprzedające orzeszki ziemne. Do szkoły nie uczęszczają, bo kto im zapłaci za szkołę? Handlują tym, co mają, aby jakoś przeżyć.

Ich wynagrodzenie za pracę jest dramatycznie niskie: 1 euro za ponad 8-godzinny dzień pracy. Co mogą za to kupić? Dwa i pół kilograma ryżu, który jest tu podstawą żywienia. A ile ryżu dziennie

potrzebuje 6-osobowa rodzina? Ponad trzy kilogramy! Więc jedzą tylko ryż i jakieś dziko rosnące zioła, rzadko fasolę. Mięsa nie jedzą prawie wcale. Musi być naprawdę jakieś wielkie święto w rodzinie, by przygotowano kurczaka z własnego chowu.

Kiedyś pojechałem do miasta, by załatwić różne sprawy. Trochę czasu mi to zajęło. Południe już minęło i strasznie osłabłem. Pomyślałem, że zjem drożdżówkę. Sprzedawali je w sklepie, obok którego przechodziłem. Kiedy jadłem tę nie najlepszą w smaku bułkę, uświadomiłem sobie, że kosztuje ona tyle, ile przeciętny zjadacz ryżu dostaje za dwie godziny pracy. Szybko poczułem się syty...

ŚLEPY EGOIZM

Wspominałem o braku troski o dobro wspólne i wzajemnym „wykorzystywaniu się”, z czym można się tu spotkać na każdym kroku. Oto przykład.

Woda do okolicznych wiosek doprowadzona została z odległego o 15 kilometrów źródła na zboczu góry. O tę inwestycję zatroszczył się Włoch, który po swoim pobycie na Madagaskarze i przeżytych tu doświadczeniach chciał zrobić coś nie dla kraju, a dla ludności. Zorganizował zbiórkę we Włoszech i powrócił na Madagaskar, by razem z miejscową ludnością zrealizować swój projekt. Kto żyw włączył się w tę akcję, kopiąc 15-kilometrowy rów, w którym umieszczono rurę. Uwieńczeniem dzieła były krany zamontowane w 8 wioskach. Popłynęła z nich zimna, czysta i zdatna do picia woda. Na pewno miało to wpływ na poziom higieny w tych miejscowościach, ale przede wszystkim na zdrowie ludności.

Jednak po kilku latach wody zaczęło brakować i nie docierała już do wszystkich. Dlaczego? Ponieważ ktoś potrzebował cegłę. Do jej produkcji niezbędna jest woda, by zrobić odpowiednie błoto. A że obok miejsca produkcji przebiega plastikowa rura doprowadzająca wodę, dlaczego nie skorzystać? Jedno uderzenie maczety wystarczyło i producent cegieł miał wody aż nadto. A to, że nie mają jej inni, już go nie obchodzi.

PRACA NA AKORD

Inny przykład: ludzie szukają dorywczej pracy. Tacy też u nas pracują, jak się mówi: na akord. Często ich zatrudniam na takiej zasadzie, bo mamy w naszym Centrum przede wszystkim prace, na których wykonanie nie potrzeba nawet całego dnia. Wiele jest prac, których nie można wykonać maszynami, tylko ręcznie, np. tylko ręcznie można przepikować młode, zaledwie kilkucentymetrowe sadzonki ryżu. Czas



Centrum Formacji Zawodowej w Tsiroanomandidy. Budynki dla studentów praktykantów. Tak było do 4 lutego 2020 roku. Tego dnia ok. godz. 16 – jak pisze o. Kasperczyk – pojawiła się straszna wichura i wszystko zmiotła. Po CFZ zostały tylko zgłiszczca. Więcej w kolejnym numerze biuletynu.

pogania, a kilkudniowe opóźnienie spowoduje, że sadzonki nie będą się nadawały do rozsady. Trzeba zatem pertraktować z ekipą, która robi wrażenie „tytanów pracy” znających się na rzeczy.

Proponują na daną pracę dwadzieścia dni roboczych dla jednej osoby. Skoro jest ich pięciu, to znaczy, że w piątkę będą musieli pracować cztery dni, by ukończyć dzieło. Targując się z nimi, można dojść do porozumienia i ustalić, że to praca na dziesięć dni roboczych, czyli dla pięciu osób na dwa dni. Ostatecznie, jeśli się zmobilizują i popracują odrobinę więcej, do dziewięciu godzin dziennie – bo czas nagli – to zdolają ukończyć pracę w ciągu jednego dnia. Na koniec „wilk syty i owca cała”.

DODATKOWA FORMACJA

Wielu ludzi poszukuje u nas pracy. Czasem na podwórzu czeka na nią kilkadziesiąt, nawet ponad osiemdziesiąt osób. Często są to ludzie prości, ciężko pracujący fizycznie, którzy nie zastanawiają się nad tym, że może warto by było jakoś usprawnić sobie pracę. Staram się im pomóc, choć nie można pomóc wszystkim. Ufam, że powoli coś jednak będę mógł dla nich zrobić.

Kiedyś po zakończeniu dnia pracy zaproponowałem trójce młodych ludzi (dziewczynie i dwóm chłopcom) kurs zawodowy. Powiedziałem, że wezmę na siebie koszt ich kształcenia, a oni po ukończeniu kursu, mając odpowiednie kompetencje, znajdą u nas stałą pracę. Chciałem, żeby zdobyli zawód. Młodym ze szczęścia zaświeciły się oczy. Ktoś się nimi zainteresował, a do tego kurs miał się odbyć w mieście.

Niestety na liście przyjętych nie mogła się znaleźć cała trójka, ze względu na niski poziom wykształcenia. Jeden z chłopców ukończył liceum, ale nie zdał matury. Na szczęście jego świadectwo z klasy maturalnej

wystarczyło, by mógł zapisać się do szkoły. Drugi chłopak z dyplomem gimnazjum nie miał tej szansy. Udało mi się jednak przekonać dyrektora, by mógł on odbyć chociaż część kursu. Dziewczyna zaś została przyjęta do centrum formacji dla dziewcząt prowadzonego przez siostry zakonne, w którym może nauczyć się zwykłych zajęć potrzebnych w codziennym życiu rodzinnym, jak: szycie, gotowanie, uprawa warzyw w przydomowym ogródku.

Miesiąc temu po kilkumiesięcznej formacji wrócili do domu. Następnego dnia po powrocie cała trójka wraz z rodzicami zjawiła się u mnie z podziękowaniami i jak tu jest w zwyczaju – ofiarowali mi kurę własnego chowu. Zorganizowanie takiej pomocy nie byłoby dla mnie możliwe, gdyby nie wsparcie Państwa. Serdeczne Bóg zapłać Wam wszystkim. Na ten temat nie rozpisuję się, bo może oni sami coś powiedzą w innym artykule.

MISYJNE „KWIATKI ŚW. FRANCISZKA”

Życie misjonarskie usłane jest też „kwiatkami św. Franciszka”. Są chwile trudne, ale są też momenty ciekawe, a nawet śmieszne. Któregoś dnia pracownik przyniósł mi jajko, które zniosła jedna z naszych kur. Nasze nioski mogą iść w zawody z innymi kurzymi fermami. Faktem jest, że klienci poszukują naszych produktów ze względu na duży rozmiar, ale ten okaz zaskoczyłby każdego. W obwodzie jajko miało 18 cm i prawie 100 gramów wagi.



Jajko o niespotykanych rozmiarach.

Maniok w Polsce pewnie nie jest znany. Tu, na Madagaskarze, po ryżu to jeden z głównych składników miejscowej kuchni. Jeden korzeń, jaki udało się nam wyhodować przy naszym Centrum, starczyłby do zaspokojenia głodu wielu osób.

Kolejnym „kwiatkiem św. Franciszka” jest piwnica do przechowywania wyrobów mleczarskich, której



Korzeń manioku nadzwyczajnej wielkości.

budowę prawie już kończymy. Nie zrobiłem tego, myśląc jedynie o naszym Centrum. Miałem na uwadze również mieszkańców wioski. Wiadomo, z powodu braku prądu elektrycznego, a przede wszystkim pieniędzy ludzie nie mają możliwości przechowywania żywności, a wysoka temperatura nie sprzyja konserwowaniu czegokolwiek. Budując tę piwnicę, chcę pokazać ludziom, że sami mogą wykopać dołek, który posłuży im za piwnicę. Pamiętam z dzieciństwa w mojej wiosce, koło domów wielu posiadało tzw. gróbki, w których przechowywano zapasy na zimę.

Kończąc, pozdrawiam wszystkich serdecznie i przesyłam gorące podziękowania za Państwa pomoc materialną i duchową. Bez jednego i drugiego ani rusz. Wszystkim Rodzicom Adopcyjnym wyrażam wdzięczność w imieniu tych, którzy dzięki Waszej pomocy mogą się choć trochę podksztalić. Szczęść Wam Boże Wszystkim.

*O. Tadeusz Kasperczyk SJ,
misjonarz z Madagaskaru*

VONJY, LALAINA I ROLLANDE

My, wspomniana wyżej trójka młodych ludzi: Vonjy, Lalaina i Rollande, mieszkamy w pobliżu Centrum Formacji Zawodowej Maharavoandriana. Wszyscy pochodzimy z ubogich rodzin i dlatego z powodu braku potrzebnych środków nie mogliśmy kon-

tinuować nauki w szkole. Lalaina i Rollande zdołali ukończyć tylko podstawówkę i zdobyć dyplom CEPE (świadectwo ukończenia szkoły podstawowej). Vonjy natomiast ukończył gimnazjum i zdobył dyplom BEPC, ale zatrzymał się w drugiej klasie liceum. Cała



Vonjy, Rollande i Lalaina z dyplomami.

nasza trójka była robotnikami dziennymi w Centrum Formacji Zawodowej Maharavoandriana i właśnie tam poznaliśmy ojca Tadeusza. Ojciec zapytał nas, czy bylibyśmy zainteresowani wyuczeniem się jakiegoś zawodu. I dokładnie o tym chcemy teraz, każdy po kolei, napisać.

Mam na imię **Vonjy**. Przez pięć miesięcy uczestniczyłem w kursie z zakresu mechaniki i prowadzenia pojazdów oraz naprawy maszyn rolniczych w Antsirabe. Obecnie robię kurs na prawo jazdy.

Mam na imię **Lalaina**. Przez miesiąc odbywałem w Antsirabe szkolenie w zakresie naprawy maszyn rolniczych. Obecnie także robię kurs na prawo jazdy.

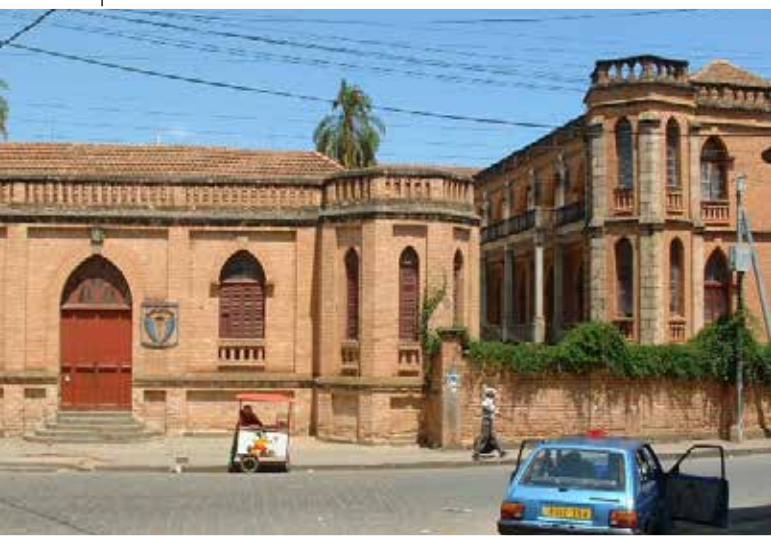
Mam na imię **Rollande**. Co do mnie, pracowałam u ojca Tadeusza jako pomoc kuchenna. Wtedy ojciec zaproponował mi sześciomiesięczny kurs prowadzenia gospodarstwa domowego w Tsiroanomandidy: krawiectwo, hodowla drobnego inwentarza oraz ogrodnictwo. Po kursie zostałam ponownie zatrudniona do pracy w kuchni w Maharavoandriana. Obecnie oprócz tego, co się nauczyłam podczas kursu, potrafię gotować i robić sery, a pod nieobecność kucharki mogę śmiało ją zastąpić.

Cała nasza trójka próbuje wykorzystywać w życiu wiedzę zdobytą dzięki pomocy ojca Tadeusza i to właśnie tu, w Maharavoandriana. Bardzo się cieszymy, że została nam dana możliwość odbycia szkolenia zawodowego, ponieważ pomoże nam to w lepszym przygotowaniu się do naszej przyszłości.

Korzystamy również z okazji, aby gorąco podziękować ojcu Tadeuszowi i wszystkim, którzy mu pomagają, zarówno finansowo, jak i merytorycznie czy wsparciem w wyborze i realizacji pomysłów, bez których nasze ambicje życiowe i rozwój pozostałyby tylko w sferze marzeń.

*Vonjy
Lalaina
Rollande*

BY GODNIE ZASTĄPIĆ WIELKIEGO RODAKA



College św. Michała w Antananarivo, wejście główne. Tu wcześniej pracował jako ekonom szkoły o. Józef Pawłowski SJ.

Na Madagaskar przyjechałem w 1987 roku. Pracowałem w różnych miejscach i pełniłem różne funkcje. Byłem proboszczem w Ambositra, kapłanem szpitala uniwersyteckiego w stolicy kraju – Antananarivo, pomocnikiem proboszcza w Anjozorobe, ministrem i ekonomem we wspólnocie jezuitów i w szkole św. Michała w Antananarivo. Jak policzyłem, najwięcej jednak czasu spędziłem w Fianarantsoa.

Po raz pierwszy trafiłem tu w roku 1992, po powrocie ze studiów teologicznych w Rzymie. Wtedy to zostałem skierowany do pracy w rezydencji biskupiej, gdzie przez 8 lat byłem ministrem i ekonomem. Po raz drugi zamieszkałem w tym mieście na kolejne 2 lata i zostałem ministrem i ekonomem domu rekolekcyjnego. Nie przypuszczałem, że w niedługim czasie znowu tu wrócę. W 2017 roku przełożeni



College św. Franciszka Ksawerego w Fianarantsoa. Fasada głównego budynku. Kolejne miejsce pracy o. Pawłowskiego.

zdecydowali, że obejmę stanowisko ministra i ekonomy wspólnoty oraz Szkoły św. Franciszka Ksawerego właśnie w tym mieście. W ostatnim czasie często pomagałem w pracy kapelanowi szpitala w Maranie – ojcu Michałowi Rabialahy, jako że jest to człowiek już bardzo wiekowy (ma ponad 90 lat), schorowany i prawie niewidomy.

KAPELAN MARANY

Z Fianarantsoa do Marany jest tylko 7 km, więc bywałem tu często nie tylko na różnego rodzaju uroczystościach związanych z Ojcem Beyzymem. Wiele czasu spędzałem przede wszystkim na prywatnych „rozmowach” z Apostołem Trędowatych, Polskim Samarytaninem. Właśnie tutaj, przy jego sarkofagu, znajdowałem odpowiedź na wiele pytań i rozwiązanie wielu problemów. Nigdy jednak nie śniło mi się nawet, że kiedyś trafię do Marany na stałe.

31 lipca 2019 roku o. Fulgence Ratsimbazafy, nasz prowincjał, wezwał mnie do siebie i wręczył nominację na kapelana szpitala w Maranie. Widocznie tak było mi pisane. To dla mnie wielkie wyróżnienie, bo od czasów Ojca Beyzyma nie było w Maranie żadnego Polaka. Wyróżnienie, ale też wielkie wyzwanie, bo to



Marana, szpital dla trędowatych wybudowany przez bł. Jana Beyzyma SJ.

miejsce przecież tak bardzo zobowiązuje – nie tylko ze względu na jego wyjątkowość, ale przede wszystkim ze względu na pamięć o naszym wielkim Rodaku.

POSŁUGA JAK ZA CZASÓW OJCA BEYZYMA

10 października (na dwa dni przed liturgicznym wspomnieniem bł. Jana Beyzyma) przeprowadziłem się do Marany. Mieszkam w domu, który wybudował Ojciec Jan. Odprawiam codziennie Mszę św. w kaplicy, gdzie patrzy na mnie Matka Boża Częstochowska, której obraz Ojciec Jan przywiózł z Krakowa i oprawił go w piękne, wyrzeźbione własnoręcznie ramy. Do Mszy św. używam kielicha i pateny – tych samych, których używał Ojciec Jan. Pan Jezus mieszka tu w tabernakulum wykonanym przez Ojca Jana i ozdobionym przez niego pięknymi rzeźbami. Codziennie – tak jak było to w zwyczaju ponad sto lat temu, za Ojca Jana – o godz. 16.00 odmawiam z chorymi różaniec. Spowiadam, udzielam sakramentu chorych, odwiedzam cmentarz, na którym spoczywają ci, których nawet po śmierci rodzina się wyrzekła, bo byli trędowaci...



Kielich mszalny ofiarowany przez Polaków w 1903 roku, który używał do Mszy św. bł. Jan Beyzym.

Oprócz mnie mieszkają w Maranie siostry zakonne ze Zgromadzenia św. Józefa z Cluny i mój poprzednik – staruszek kapelan, który właśnie tutaj chce doczekać kresu swoich dni i spocząć na cmentarzu obok trędowatych.

NIEDOSTATEK NA WSZYSTKICH FRONTACH...

Oglądam to moje nowe „gospodarstwo” i widzę, że od stu lat niewiele się tutaj zmieniło. Budynek szpitala trzyma się całkiem nieźle, ale tak naprawdę dawno by mu się przydał kapitalny remont. Podziwiam siostry, które tutaj „rządzą”, że jakoś sobie radzą z codziennymi problemami, których nie brakuje. Szpi-

tal nie jest utrzymywany z dotacji państwowych. Istnieje i działa jedynie dzięki ofiarności darczyńców – głównie z Polski (tak zresztą, jak było za czasów Ojca Bezymy). Brakuje pieniędzy na leki, opatrunki, na wszystko... Ale szpital wciąż trwa, bo Ojciec Jan – odchodząc do Pana – zostawił go w dobrych rękach, w rękach Czarnej Mateńki z Częstochowy. I to Ona troszczy się codziennie o wszystko.

REFLEKSJA GODNA SWEGO MIEJSCA I CZASU

Chodzę po ścieżkach Marany i na każdym kroku spotykam ślady obecności bł. Ojca Jana, czuję wprost fizycznie jego obecność. Myślę o tym, jak ciężko było mu tu żyć. W tym miejscu odosobnienia był zdany tylko na własne siły, a miał ich przecież tak niewiele. Nie miał samochodu jak dzisiejsi misjonarze. Nie było telefonu, internetu, elektryczności. Sam opatrywał rany chorych, leczył ich, karmił, sam dbał o to, by mieli co do garnka włożyć. A kiedy zachorował, po lekarską pomoc musiał iść piechotą aż do stolicy (ok. 400 km).

Myślę o Ojcu Janie i o tym, ile było w nim dobroci, cierpliwości. O tym, jak bezgranicznie potrafił ufać Bogu i równie bezgranicznie kochać bliźniego...



Kaplica szpitalna w Maranie.

Cieszę się, że tu jestem, ale też boję się, bo wiem, jak mi daleko do cnót bł. Ojca Bezymy. Dlatego wszystkich Czytelników i Przyjaciół misji proszę o modlitewne wsparcie, bym mógł godnie zastępować naszego wielkiego Rodaka.

*O. Józef Pawłowski SJ,
kapelan szpitala dla chorych na trąd
w Maranie*

MALAWI

ZJAZD STUDENTÓW NAD JEZIOREM MALAWI

Zjazd miał miejsce w miejscowości Salima nad jeziorem Malawi, na terenie obozu treningowo-wypoczynkowego dla wojska i innych grup zorganizowanych, od piątku 8 II 2019 wieczorem do niedzieli 10 II 2019.

Od dłuższego czasu planowaliśmy szczegóły dorocznego zjazdu studentów katolickich z centralnego regionu Malawi. To jeden z punktów działalności krajowego ruchu studentów katolickich, którego angielska nazwa brzmi National Movement of Catholic Students (NMCS). Jest to organizacja międzynarodowa zrzeszająca studentów katolickich z wyższych uczelni. W Malawi działa aktywnie dopiero od kilku lat.

MALAWI TO BARDZO UBOGI KRAJ

Malawi jest jednym z najuboższych krajów nie tylko Afryki, ale i świata. Ma ponad 17 milionów ludności mieszkającej na terytorium trzy razy mniejszym niż Polska. Do tego znaczną część kraju zajmuje

ogromne jezioro Malawi. Tak więc gęstość zaludnienia jest tu duża. Rzadko znajdzie się zakątek, który nie byłby zagospodarowany. Większość Malawijczyków to młodzież i dzieci. Rodziny mają przeważnie sześcioro – ośmioro dzieci. W kraju tym nie ma rozwiniętego przemysłu. Ludzie zajmują się przeważnie rolnictwem. Uprawiają kukurydzę, orzeszki ziemne, słodkie



Duszpasterz akademicki, o. Gerard Karas SJ nad jeziorem.

ziemniaki. Uprawiana jest też kawa, herbata, trzcina cukrowa, mandarynki, banany i ananasy.

Szkoły, często bez dostępu do elektryczności, nie są w stanie zapewnić odpowiedniego poziomu nauczania. Przeciętnie w klasie w szkole podstawowej może być nawet stu, a często i więcej uczniów! Nie ma więc mowy o dobrych wynikach. Brakuje podręczników. Dzieci siedzą w klasie na podłodze. Tylko niewielu osiąga wystarczające wykształcenie, by kontynuować naukę w szkole średniej czy wyższej.

WYCHOWAWCA MALAWIJSKIEJ MŁODZIEŻY

Jestem duszpasterzem akademickim, czyli kapłanem studentów, w centralnym regionie Malawi obejmującym archidiecezję Lilongwe (stolica kraju) oraz sąsiednią diecezję Dedza. Posługuję wśród młodzieży z dwóch szkół rolniczych, z trzech szkół medycznych, ze szkoły technicznej, ze szkoły nauczycielskiej oraz wśród studentów prywatnego uniwersytetu. Każdego dnia jestem w innej placówce, czasami obsługuję dwa miejsca w tym samym dniu.

Moim celem jest wychowanie młodzieży katolickiej na odpowiedzialnych obywateli, którzy znają swoją religię, są zaangażowani w działalność Kościoła oraz wykazują inicjatywę, by zmienić pasywne nastawienie społeczeństwa i zapewnić lepszą przyszłość ojczyźnie. Młodzi Malawijczycy mają ogromny potencjał, który trzeba jednak rozbudzić, wzmacniając w nich ufność we własne siły.

Temu między innymi służą doroczne konferencje i zjazdy studentów. Odbywają się one na poziomie regionalnym, który organizuję, oraz na szczeblu krajowym, organizowanym przez zarząd narodowy ruchu studentów katolickich.



Wzburzone jezioro Malawi. Kryształowo czysta woda nie jest widoczna z powodu burzy na jeziorze.

PLAN SPOTKANIA STUDENTÓW NAD JEZIOREM

Organizacja takiego wydarzenia angażuje sporo studentów z różnych uczelni regionu Lilongwe. Pierwsze pytanie dotyczy tego, gdzie organizować ten zjazd. Najczęstsza odpowiedź to: „Nad jeziorem Malawi”.

Studenci uwielbiają wyjazdy nad wodę. Miejscowość Salima nad jeziorem jest oddalona o około 120 km od Lilongwe. Postanowiliśmy więc odbyć ten zjazd w okolicach Salimy, nad jeziorem.

Oczywiście pojawiło się następne pytanie: gdzie znajdziemy zakwaterowanie dla około 150 studentów od piątku popołudnia do niedzieli. Tylko weekend wchodził bowiem w rachubę. Niestety szkoła techniczna z internatem w Salimie była w połowie semestru, więc nie mieli tam miejsc dla gości. Różne hotele nie pomieszczą sporej liczby naszych studentów, a duże hotele są za drogie. Nigdy nie możemy sobie na to pozwolić.



Nad jeziorem Malawi. Okolice Salimy.

W końcu zapadła decyzja, by spotkanie studentów odbyć w wojskowym obozie szkoleniowym nad samym jeziorem, który może zapewnić zakwaterowanie nawet 500 osobom. A ceny też są tam bardzo przystępne. Młodzież będzie spała na łózkach polowych. Kłopot polegał jedynie na tym, że trzeba przywieźć ze sobą żywność, ale jest prosta kuchnia polowa, gdzie można przygotować posiłki. Jest też siła robocza, którą można zatrudnić przy gotowaniu. Piec opala się drewnem, które oczywiście trzeba najpierw zwieźć z lasu. Pojechałem do tego obozu wcześniej, by uzgodnić szczegóły. Przyjęto mnie bardzo miło i za drobną opłatą obiecano, że zorganizują zwózkę drewna i naturalnie postawią duże namioty do naszej dyspozycji. Znałem to miejsce z wcześniejszej imprezy na poziomie krajowym.

ORGANIZACJA ZJAZDU

Zaczęliśmy planowanie posiłków i programu konferencji, oczywiście przy aktywnym udziale zarządu regionu centralnego i innych studentów, którzy byli zainteresowani pomocą przy organizacji zjazdu. Spotykaliśmy się prawie co tydzień (w soboty) przez około dwa miesiące. Trzeba było przygotować budżet, wybrać jadłospis i zaprosić prelegentów oraz główną osobę, czcigodnego arcybiskupa archidiecezji Lilongwe Tarcycjusza Ziyaye. Miał on na terenie obozu odprawić uroczystą Mszę św. polową dla studentów.

Chciałem, by organizacją posiłków i kuchnią zajęły się studentki. Niestety, odzew był niewielki. Dziewczęta były dosyć pasywne. Chcąc nie chcąc, musieliśmy zająć się organizacją posiłków. Będzie pięć posiłków: w sobotę śniadanie, obiad, kolacja; w niedzielę śniadanie i obiad na zakończenie. W piątek, w pierwszy dzień zjazdu, poszczególne grupy organizują sobie same wyżywienie. Przeważnie przywożą coś ze sobą.

Planując posiłki, korzystaliśmy z doświadczenia i zapisków z poprzednich lat: ile trzeba kurczaków, ryb, wołowiny. Ile kupić bochenków chleba, ile jaj, herbaty, kawy, cukru, mleka (w proszku). Na obiad ryż, ziemniaki, mąka kukurydziana na tzw. *nshimę*. Potrzebne będą pomidory, kapusta, cebula itd. Wszystko dokładnie wyszczególniliśmy i zapisaliśmy listę na smartfonach.

Transport też był organizowany na poziomie grupy, żeby było taniej, bez potrzeby korzystania z komunikacji publicznej. Zamówiliśmy ciężarówkę, by przewieźć żywność i sprzęt muzyczny. Grupa muzyczna również korzystała z wolnego przewozu.

Ja chciałem dostarczyć materiały na konferencję już dzień wcześniej, ale studenci zapewnili mnie, że nie jest to konieczne. Wystarczy wziąć wszystko w dzień zjazdu.



Studenci wraz z ich duszpasterzem, o. Gerardem Karasem SJ.

PRELEGENCI I ZAPROSZENI GOŚCIE

Problemem stały się fundusze, a raczej ich brak... Studenci mieli wpłacać 3500 kwacha od osoby za udział w imprezie (około 5 dolarów). Miało to pokryć koszty zakwaterowania, samej imprezy i oczywiście posiłków. Termin zjazdu się zbliżał, a pieniędzy nie było widać. Zobowiązałem się wspomóc imprezę finansowo. Niestety, przelew z biura misyjnego w Niemczech się opóźnił. Sprawdzałem w banku codziennie, ale bez rezultatu. Wpłaty od studentów również do nas nie docierały. Tymczasem trzeba było robić zakupy. Jakby szatan się uwziął, by przeszkodzić w naszej

imprezie. Dla mnie był to znak, że można spodziewać się wiele dobra po tym zjeździe.

Trzeba było też zaprosić prelegentów. Nakreśliliśmy tematy interesujące młodzież po konsultacjach z młodymi ludźmi. Postanowiliśmy poprosić Księdza Arcybiskupa o jego wrażenia i przesłanie z synodu biskupów w Rzymie na temat młodych, promocji powołań i rozeznawania. Arcybiskup Ziyaye był w tym temacie bardzo kompetentną osobą. Wszak to on brał udział w obradach synodu, reprezentując episkopat Malawi. Pomimo nie najlepszego stanu zdrowia (był przeziębiony i przeszedł atak malarii) Ksiądz Arcybiskup zgodził się bardzo chętnie na odprawienie Mszy św. dla studentów i prelekcję na temat synodu.



Studenci podczas prelekcji.

PORUSZONE WAŻNE TEMATY

Następny temat ważny dla młodzieży Malawi to rodzina i małżeństwo. Młodzi myślą o przyszłości i mają wiele pytań związanych z narzeczeństwem i relacjami chłopak – dziewczyna. Zaprośiliśmy małżeństwo katolików, by podzieliło się swoimi doświadczeniami.

Innym problemem Malawi jest gospodarka, zwłaszcza zatrudnienie, a raczej jego brak, czyli bezrobocie. Jak zapewnić sobie przyszłość bez środków materialnych? Poprosiliśmy człowieka biznesu, by zdradził nam tajemnice swojego sukcesu.

Podczas ubiegłorocznego zjazdu wielkim powodzeniem cieszyła się prezentacja na temat zdrowia i higieny osobistej. Było to podczas dużego zagrożenia Malawi cholerą – chorobą brudu, zarazków roznoszonych przez muchy i inne owady żerujące na odpadkach i zgniliznie. Postanowiliśmy dać znowu okazję do poruszenia tych spraw, korzystając z ekspertyzy naszych studentów medycyny.

Oczywiście były też kazania i nauki o wierze, zaangażowaniu misyjnym, uczestnictwie w życiu

Kościoła. Program był bardzo bogaty i interesujący. Nie zapomnieliśmy o rozrywce. Mieliśmy grupę młodzieży zapewniającą dobrą muzykę i wspaniałą zabawę... Naturalnie jezioro i ciepła woda stanowiły dodatkową atrakcję.

Nadszedł wreszcie dzień zjazdu, a dla nas dzień zakupów oraz transportu sprzętu i prowiantu na miejsce zjazdu. Wielką pomocą okazał się mój współbrat zakonny, jezuita, który udzielił nam pożyczki i tym samym umożliwił dokonanie niezbędnych zakupów. Był w tym widać palec Boży.

KONIECZNE SPRAWUNKI I PIERWSZE TRUDNOŚCI

Rano zebraliśmy się na umówionym miejscu spotkania w Lilongwe, przy jednej z parafii. Mieliśmy rozdzielić się na grupy, dokonać potrzebnych zakupów i wyruszyć na teren zjazdu. Jedna grupa miała kupić owoce i warzywa oraz mąkę kukurydzianą, a potem mieliśmy się spotkać przy dużym centrum handlowym, by dokończyć zakupy. Moim zadaniem było kupno kurczaków (zamrożonych brojlerów), jaj, wołowiny oraz ryb.

Pojechaliśmy po te kurczaki, 20 sztuk, oraz po 10 palet jaj. Udało się je nabyć bez kłopotów na pewnej farmie, gdzie wielu kupuje drób na sprzedaż. Dla mnie oczywiście wyzwaniem było nierozbicie zakupionych jaj, bo drogi w Lilongwe są bardzo wyboiste. Potem pojechałem po wołowinę. Miałem do pomocy dziewczynę, która zna się na sprawie: pomogła kupić tanio, a jednocześnie dobrze. Mięso było świeże i dobrej jakości. Trzeba było jednak dość długo czekać, nim odważyli 20 paczek po 2 kg każda.

Teraz skok po ryby. Mam przyjaciół w sklepie rybnym, więc wszystko poszło gładko. Ryby były w dużych paczkach solidnie zamrożone na kość. Ciekawe, że jechaliśmy nad jezioro, a ryby kupowaliśmy w stolicy. Ale w mieście łatwiej zdobyć ryby dla 150 osób i do tego są one tańsze niż te nad jeziorem.

Wreszcie dotarłem do naszego miejsca spotkania przy centrum handlowym i okazało się, że byłem tam tylko ja i jeden z naszych studentów. Inni natrafili na ogromne trudności. Otóż ciężarówka, która miała przewieźć rzeczy na miejsce spotkania, była do dyspozycji dopiero od godz. 14, a myśmy robili zakupy już od godz. 8 rano! Do tego była mniejsza niż się spodziewaliśmy. I jeszcze zaczął padać deszcz...

Wyglądało na to, że będzie potężna wpadka! Ale gdzie jest chęć, tam jest też sposób. Wiedzieliśmy, że ciężarówka będzie przeciążona. Młodzież załatwiła na policji pozwolenie na przewóz, mimo przeciążenia.



Spontaniczny taniec podczas przerwy w obradach na zjeździe studentów katolickich.

Chodziło o to, by na punktach kontrolnych nie zatrzymała nas policja i nie zarekwirowała pojazdu. I to się udało!

Naturalnie ja musiałem też wziąć więcej bagaży i prowiantu niż się spodziewałem, ale do celu dotarliśmy szczęśliwie.

Do Salimy młodzież już się zjeżdżała. Przybyło więcej młodych niż założyliśmy. Pewne rzeczy trzeba było dokupić, np. pomidory, chleb czy jaja. Poznałem nowe miejsca na zakupy w Salimie.

Miejsce na nocleg dla kapłanów zostało zajęte. Musieliśmy szukać czegoś innego i na szczęście Bracia Maryści udostępnili nam swój obiekt nad jeziorem.

MSZA Z ARCYBISKUPEM

Ksiądz Arcybiskup odprawił uroczystą Mszę św. w sobotę i w ciekawy sposób podzielił się swoimi doświadczeniami z dni obrad synodu biskupów w Rzymie. Ja czuwałem nad całością. Podziwiałem dyscyplinę i zaangażowanie młodzieży. Oni naprawdę chcieli się czegoś nauczyć i poznać nowych ludzi. Dużo się działo. W niedzielę tak deszcz padał, że nie byłem pewien, czy w ogóle dojadę do obozu, a miałem tam odprawić Mszę św. Postawiono nowy potężny namiot – wiadomo, żołnierze muszą być gotowi na każdą okoliczność.

Ogólnie mogę powiedzieć, że zjazd studentów był sukcesem, a dla mnie okazją do większego zaufania Bogu i pomysłowości studentów. Dużo się nauczyłem. A jestem pewien, że nasi studenci również zdobyli nową wiedzę i odkryli bardziej swoje powołanie chrześcijańskie.

*O. Gerard Karas SJ,
duszpasterz akademicki w Malawi*



O. Ludwik Zapala na tle domu misyjnego w Kasisi.

Od sześciu lat pracuję w Malawi. Wcześniej przez ponad dwadzieścia lat misjonowałem w Zambii, do której wyjechałem jeszcze jako kleryk Towarzystwa Jezusowego, po odbyciu dwuletniego nowicjatu w Starej Wsi oraz studiów filozoficznych w Krakowie. Polskę opuściłem w roku 1979. Po rocznym kursie języka angielskiego w Anglii do Zambii dotarłem w lipcu 1980 roku. Pobyt w Zambii przerwały moje studia teologiczne, które odbyłem w Kanadzie w latach 1989–1992. Po otrzymaniu święceń kapłańskich w Toronto w 1992 roku powróciłem do Zambii, gdzie pracowałem do roku 2013.

Teraz pojawiło się nowe wyzwanie. Była nim decyzja przełożonych podyktowana potrzebą wzmocnienia grupy misyjnej w Malawi. Przerzucenie mnie wraz z innymi misjonarzami do Malawi nie było niczym szczególnym. Malawi wraz z Zambią tworzy tę samą prowincję misyjną jezuitów: Prowincję Zambia-Malawi.

Jednak dla mnie nie była to łatwa decyzja. Po tylu latach w Zambii trudno mi było dostosować się do nowych warunków i wyzwań, jakie czekały na mnie



Domostwo rodziny w Mozambiku.

w Malawi. Poza jednym istotnym plusem: miałem pracować w parafii Kasungu prowadzonej przez ojca Józefa Oleksego, mojego Współbrata, którego od lat znałem i z którym pozostawałem w ciągłym kontakcie. Przejęcie po nim obowiązków odebrałem z pewną ulgą. Wcześniej miałem wiele okazji przypatrywać się temu, co robił, kiedy byliśmy razem przez kilka lat, zanim wrócił do Polski. To, co mi pozostawił, w każdej chwili mi pomaga jeszcze dziś.

MARZENIA O PRACY W MOZAMBIKU

Na początku czułem, że Malawi to jakoś nie jest moje miejsce. Złożyłem więc prośbę do przełożonych o pozwolenie na pracę w Mozambiku, bo odkryłem, że potrzeby duchowe w tym sąsiednim kraju są o wiele większe niż w Malawi. W Mozambiku byłem tylko przez pięć miesięcy. Wielka praca misyjna, bo kraj ten powoli powraca do normalności po długiej wojnie domowej. Cieszyłem się tą posługą misyjną jak św. Franciszek Ksawery. Przez ten krótki czas ochrzciłem około trzech tysięcy osób, przeważnie dzieci. W wielu odwiedzanych przeze mnie miejscach kapłana nie było nawet przez dwa lata, ale katechiści pracowali tam bez przerwy, oczekując, że kiedyś pojawi się u nich jakiś ksiądz. Ostatecznie nie dostałem jednak wizy na stały pobyt w Mozambiku i wróciłem pokornie do Malawi, do parafii św. Józefa w Kasungu.



Malawi, fragment miasta Kasungu.

MALAWI I JEJ PROBLEMY

Trudno mi było wejść w sytuację mieszkańców Malawi. Wydawało mi się, że ludzie tu są w podobnej sytuacji jak w Zambii trzydzieści lat temu, kiedy stawiałem pierwsze kroki w misyjnej pracy. Sytuacja pogarsza się jednak z każdym rokiem ze względu na ogromny przyrost ludności. Z każdym pokoleniem

liczba mieszkańców Malawi się podwaja, a poza tym niewiele się tu zmienia. Gęstość zaludnienia w Malawi jest już większa niż w Polsce. Czterdzieści lat temu w Malawi żyło około czterech milionów osób, a za dwadzieścia lat Malawi będzie mieć więcej mieszkańców niż Polska. Tymczasem terytorium kraju stanowi jedną trzecią obszaru naszego kraju.

Co się stanie z tysiącem dzieci, które chrzczą co roku w naszej parafii? Jak je przygotować do życia? Zachęcam i pomagam w zakładaniu przedszkoli przy kościołach w stacjach misyjnych mojej parafii, w tzw. *outstations*. Jak się te dzieci mogą nauczyć czytać i pisać, kiedy w pierwszych klasach podstawówki jest ich około dwustu w jednej klasie? Jeśli w takich warunkach się czegoś nauczą, będzie to naprawdę cud. Obecnie Malawi ma największą liczbę nieumiejących czytać i pisać w całej południowej części Afryki. Przy tak ograniczonym wykształceniu nawet nie ma co myśleć o jakiegokolwiek zmianie sytuacji w kraju. To praca u podstaw, jak kiedyś, z końcem XIX wieku, w Polsce. Przemienie wiele lat i nie będzie widać owoców obecnej pracy. Może uczniowie, którzy teraz doszli do szkoły średniej, przekażą kiedyś umiejętność czytania i pisanania swoim dzieciom.

DRAMATYCZNA SYTUACJA MALAWIJSKICH DZIECI

Bardzo trudna jest sytuacja dzieci, które straciły rodziców. Często przechodzą pod opiekę dziadków, którzy nie są w stanie zapewnić im wykształcenia czy nawet wystarczającego utrzymania. Co ma robić matka, której zmarł mąż albo ją po prostu opuścił? W większości wypadków nie ma innego wyjścia jak zostać drugą żoną kogoś, kto może zapewnić jej i jej dzieciom jakieś wsparcie. Sama matka nie jest w stanie wyżywić kilkorga dzieci. Taka niepełna rodzina, pozbawiona męża i ojca, żyje w skrajnej nędzy. Żywią się otrębami, szczególnie w styczniu i lutym, jak kiedyś w Polsce na przednówku.



Dzieci bawiące się w afrykańskiej wiosce.

EWANGELICZNA POSTAWA MIŁOŚCI

Sytuacja w Malawi często nasuwa mi na myśl ewangeliczne czasy Jezusa. Najubożsi posiadają tu tylko motykę i jedno ubranie. Nieco zamożniejsi mają w rodzinie rower. A Pan Jezus nie wprowadzał szkolnictwa czy programów rozwojowych, lecz głosił prawo miłości, które zmieniło świat w ciągu wieków. Dawał ludziom nadzieję na lepsze jutro. Chrystus uzdrawiał i zachęcał swoich uczniów, by troszczyli się o biednych i potrzebujących. W ten sposób ludzie mogli doświadczyć miłości Boga i bliźniego. Temu, kto dzieli się z bliźnim tym, co posiada, Bóg błogosławi teraz, w tym życiu na ziemi, a w wieczności hojnie wynagrodzi. Jak czytamy w Ewangelii, nawet kubek wody dany spragnionemu w imię Chrystusa nie pozostanie bez nagrody w życiu przyszłym (por. Mt 10,42). Tak więc nasze wspólnoty lokalne dzielą się tym, co mają, chociaż mają bardzo niewiele.

Jeśli chodzi o mnie, to jeżdżę jak szalony od wioski do wioski, ale i tak mniejsze *outstations* odwiedzam tylko najwyżej trzy razy w roku (w parafii mamy ok. 72 *outstations*). Rano słucham spowiedzi i odprawiam Mszę świętą. Po południu to samo, spowiedź i Msza święta, tysiące spowiedzi rocznie. A to, co głoszę, to prawdy wiary i przykazania Boże.

REALNE ZAGROŻENIA

Malawi szturmem zdobywa islam, bo dopływ pieniędzy na budowy meczetów jest tu nieograniczony. Wystarczy jedna rodzina islamska w wiosce, aby zacząć budowę nowego meczetu. I tak wokół niego zaczyna się tworzyć załazek wspólnoty wyznawców Mahometa. Ludzie w Malawi walczą o przeżycie. Dla wielu obojętne jest, skąd przyjdzie pomoc. Chętnie przyjmują wsparcie od wspólnoty muzułmańskiej. Nie są w stanie myśleć, jaka będzie ich przyszłość. I to jest sytuacja ogromnej liczby Malawijczyków, którzy bardziej zajęci są sprawami doczesnymi niż wiecznymi.

Myślę, że zostało mi jeszcze trochę lat pracy misyjnej, na ile zdrowie pozwoli, które po sześćdziesiątce powoli się już niestety z każdym rokiem pogarsza. Czuję, że potrzeba mi się więcej modlić, bo głową muru nie przebijesz, ale łaska Boża wszystko może.

Obiecuję pamięć modlitewną wszystkim, którzy zechcą wesprzeć nasze dzieło misyjne, i pokornie o taką samą pamięć proszę.

*O. Ludwik Zapala SJ,
misjonarz w Malawi*

ZAMBIA

PIONIERZY MISJI ZAMBIJSKIEJ SYLWETKI MISJONARZY

KRÓTKI RYS HISTORII JEZUICKICH MISJI W ZAMBII, CZĘŚĆ IV

NOWY MISYJNY ZAPAŁ PO ZAKOŃCZENIU WOJNY

W roku 1919, po wojnie, świta nadzieja lepszego jutra. Restrykcje już zniesione, wolność ruchu i szersza praca misyjna. Zakładanie szkół. Jedna z notatek mówi, że 4 listopada w Katondwe została poświęcona nowa szkoła, do której uczęszcza 27 chłopców i 19 dziewcząt. Do tego, jak już wyżej wspomiano, powstają jeszcze inne szkoły. Lecz tutaj następuje pewien kres!



Przed chatą służącą za budynek kościoła w wiosce w drodze do Chingombe.

Do Chingombe 10 grudnia przyszedł z Katondwe posłaniec z listem, datowanym na 6 grudnia. List pisał ojciec Władysław Bulsiewicz. Donosił, że ojciec superior Apoloniusz Kraupa jest śmiertelnie chory i aby wedle jego rozporządzenia ojciec superior Felician Czarliński natychmiast przybywał do Katondwe. Oczywiście ojciec Czarliński zaraz pospiesznie wyruszył w drogę do Katondwe, gdzie i my z naszą fabułą musimy się przenieść do punktu, gdzieśmy zostawili Katondwe.

ROZWÓJ MISJI W KATONDWE

W Katondwe 8 sierpnia 1914 roku dowiedzieli się o wybuchu Wielkiej Wojny. Również i w Katon-

dwe nastąpiły restrykcje ruchu, spis, oddanie strzelb itp., jednak nie tak ostre jak to miało miejsce w Chingombe, co zależało wiele od miejscowych urzędników. Okres wojny w Katondwe był znacznie łżejszy. Przez tych parę lat byli już na pewnym dorobku, tak duchowym, jak i materialnym, od czasu powstania misji. Stale przez cały okres wojny jest wzmianka o szkołach po wioskach, ich wizytacjach, a często liczne zebrania wiernych na misji w niedziele, a szczególnie w większe święta itp. Jednak i w Katondwe z wybuchem wojny z miejsca następują wielkie ograniczenia i oszczędności. Przede wszystkim przerwa budowy domu, zwolnienie z pracy murarzy i robotników, w ogóle wszelka akcja rozwojowa ustaje, przynajmniej czasowo. Na święta Bożego Narodzenia ze szkół i wiosek wielkie zebranie dzieci na misji, nowe chrzty, śpiewanie kołęd, zapewne już i polskich, które zdaje się przekłada ojciec Władysław Bulsiewicz.

W 1915 roku widocznie są na tyle na siłach, że przerwana budowę domu i inne roboty rozpoczynają na nowo i doprowadzają do właściwego końca. Brat Leon Kodrzyński prowadzi budowę, brat Jakub Stofner wykonuje wszelkie z tym związane roboty stolarskie. Przy tym jak brat Leon Kodrzyński, tak i brat Jakub Stofner uczą. Pierwszy uczy całe kadry murarzy, drugi prowadzi wprost szkołę stolarską dla zdolniejszych do tego chłopaków. Przy tym brat Stofner na tyrolski sposób wybudował i urządził, na potoku u pana Frantiska Brużka, młyn wodny, który następnie przez długie lata oddawał wielkie, jedyne usługi do mielenia zboża, pszenicy na chleb i kukurydzy na *nshimę**. Trzeba również przy tym zaznaczyć i złożyć uznanie, że pan Brużek, samotny sąsiad misji, jest dla niej stałym

* Danie wykonane z mąki kukurydzianej, białej kukurydzy, które jest podstawowym pożywieniem w Zambii i Malawi (przyp. red.).

przyjacielem, a ojciec superior Kraupa wystawia dla niego na jego farmie murowany lepszy domek.

W kwietniu tegoż roku ojciec superior Kraupa od wielbnego ojca Ryszarda Sykesa SJ z Salisbury otrzymuje pozwolenie na udzielanie sakramentu bierzmowania. Pod koniec roku budowa domu została ukończona. 10 grudnia ojciec superior Kraupa dokonuje jego poświęcenia i stopniowo z pionierskich chat misjonarze przenoszą się do niego na mieszkanie. 15 grudnia w nowej kaplicy przy domu zostaje odprawiona przez ojca superiora Kraupę pierwsza Msza św. Na końcu roku bardzo uroczyste i w podniosłym nastroju obchodzą święta Bożego Narodzenia. Wielkie zebranie na misji dzieci i starszych z wiosek i szkółek.



Misja. Wioska afrykańska dawniej.

Z początkiem 1916 roku niezmordowany budowniczy brat Leon Kodrzyński bardzo ciężko i długo choruje na czarną febrę. W marcu przyszła przykra wiadomość, że ojcowie werbiści tak z Boromy, jak i z Miruru zostają przez rząd portugalski wydalenii, z którymi Katondwe utrzymywało najlepsze stosunki i wzajemnie się wspomagali. Miruru pozostało pustką. W czerwcu jest wzmianka, że ojciec Jan Lazarewicz otrzymuje pozwolenie od rządu na otwarcie dalszych kilku szkół.

Bardzo uroczyste w tym roku są obchodzone Zielone Święta w nowej kaplicy pod wezwaniem Du-cha Świętego. Ojciec superior Kraupa po raz pierwszy udziela sakramentu bierzmowania 60 neofitom. W sierpniu ojciec superior Kraupa podejmuje drogę do Kasisi z wizytacją samotnego ojca Juliana Torrenda. Zabrało to ojcu Kraupie tam i z powrotem cały miesiąc.

Na uroczystość Wszystkich Świętych także wielkie zgromadzenie na misji, chrzty i pierwsza Komunia św., jak również następnie na Boże Narodzenie obliczają zebranych 500 ludzi. Nawet Europejczycy przyszli z Feiry na pasterkę o północy. Przy tej okazji ojciec

Jan Lazarewicz rozdał dzieciom 300 jardów płótna na ubranie [1 jard = 91,44 cm – przyp. red.]. (Płótno wówczas nad Luangwę u krajowców było w niezwyklej cenie, właściwie jeszcze jedynym ubraniem).

AFRYKAŃSKIE PROBLEMY

Często nie ma radości bez boleści. Tej samej nocy w Wigilię do zagrody kóz wdziera się lampart i zabija 12 owiec dużych, prócz tego wiele małych. Dwa dni później znowu lampart w zagrodzeniu, zabija tym razem 24 owce i świny. Ostatecznie następnej nocy łapie się w żelaza i zostaje zastrzelony. Przy tym nie można jeszcze raz pominąć tego, że Katondwe w ówczesnych czasach była to prawdziwa pierwotna Afryka, gorąca dżungla pełna drapieżnej fauny, lwów, lampartów, całe stada babunów (pawianów), tj. dzikiej bardzo szkodliwej gadziny, jak powtarzał pan Frantisek Brużek, której „Miliony”, bez przerwy jak nieustanna zmora, zwłaszcza lwy, krążyły. Dosłownie żadna chwila nie była pewna, by gdziekolwiek się z nimi nie spotkać. Wyrządzały przede wszystkim wielkie szkody w dobytku, w ogrodach i na polach i jak lwy często zagrażały życiu ludzkiemu. Dzisiaj już mniej, bo zostały przytępione, ale wówczas były wielkie ilości jadowitych olbrzymich węży, zwłaszcza nad rzekami w gęszczach.



Zamiast postępu degradacja i większe ubóstwo.

Zaraz na początku 1917 roku, w lutym, ojciec Władysław Bulsiewicz poświęca gdzieś nową szkołę, a prócz tego katechizuje starszych mężczyzn. Następnie w Katondwe zachodzą pewne zmiany personalne. Z Chingombe, ze względu na zdrowie, zostaje przeniesiony do Katondwe brat Wojciech Pączka, na jego miejsce idzie z Kapoche brat Jakub Longa. W Kapoche ojciec Kasper Moskopp zostaje sam.

6 kwietnia, w Wielki Piątek, nad Luangwą obiega wieść, co było faktem, że na portugalskiej stronie rebelia Afrykańczyków przeciw Portugalczykom. Administrator z Lumbo (wybrzeże Mozambiku) uszedł i schronił się do Feiry. Inny jakiś Portugalczyk schronił się do Katondwe. Dalej, że wiele z portugalskiej strony ludności ucieka, przechodząc na stronę angielską. Co więcej, że czarni rebelianci w Miruru sprofanowali i zdemolowali kościół. I tym podobne.



Siostry Służebniczki, ojcowie Kozłowski i Czapiewski oraz br. Perdik.

11 czerwca wieczorem prawie nagle umiera brat Augustyn Żurek w Katondwe, pierwszy z misjonarzy w naszej misji. W sierpniu zawsze aktywny ojciec Jan Lazarewicz poświęca i otwiera dwie nowo wybudowane szkoły w Mwavi i Chirive. Pewna z notatek mówi, że w 1917 roku w Katondwe liczba dzieci szkolnych



Wierni przed kościołem w stacji misyjnej obecnie.

wynosi 372. W internacie „Arapazów” 23 chłopców. Na nabożeństwa gromadzi się, zapewne tylko na większe święta, po 500 osób.

Bardzo uroczyste w tym roku wypada i jest obchodzona uroczystość, zapewne pamięć i tradycja Miruru, św. Piotra Klawera. Wiele spowiedzi i Komunii św. Dalej notatki kronik mówią – plaga lwów grasuje w Katondwe i okolicy. Wielkie szkody w dobytku.

W początkach listopada bardzo ciężko choruje na tyfus ojciec superior Apoloniusz Kraupa. Z przyjęciem do zdrowia zabiera mu to dwa miesiące prawie.

Odnosnie do Kapoche na razie nie jesteśmy w posiadaniu dostatecznych materiałów do jego pierwotnych dziejów. Zapewne bardzo szczegółowy diariusz, główne źródło dziejów z tych lat ojca Kaspra Moskoppa, gdzieś zaginął. Na razie mamy tylko skromne rozbieżne wzmianki, tu i ówdzie notatki, ustne podania i opowiadania pierwotnych misjonarzy, które jeszcze tu i ówdzie błaskają się w pamięci do dziejów Kapoche pierwszego pionierskiego okresu.

W każdym razie, jak w Katondwe, tak i w Kapoche ojciec Moskoppp w miarę zasobów i sił rozwija pracę misjonarską. Stacja Kakaro jeszcze w 1914 roku została opuszczona, z chwilą opuszczenia misji przez ojca Juliana Merleau. Lecz zaraz powstała tam większych rozmiarów szkoła pod dyktando ojca Moskoppa z Kapoche. Zapewne ojciec Moskoppp prócz Kakaro i zapewne szkoły na samej misji prowadzi jeszcze inne szkoły w rejonie, podobno jest ich pięć. A jedna z notatek mówi, że do szkół uczęszcza 80 dzieci.

Na święta Bożego Narodzenia w Kapoche zgromadziło się 250 wiernych. Pod tym jednak jest wzmianka, jakby z pewnym wyrzutem, że przyszli raczej, by dostać coś, jakieś podarunki, ubranie, jedzenie, aniżeli z pobudek wiary. Dalej, że starsi rodzice poganie nie pozwalają dzieciom chodzić do szkoły tak całkiem za darmo... Zapewne jednak nastąpiła poprawa, gdyż rok później zapiski mówią, że do szkółek uczęszcza w regionie misyjnym Kapoche 225 dzieci.

W roku 1917 w Kapoche zostaje przy pomocy brata Leona Kodrzyńskiego i z pewnym udziałem brata Jakuba Stofnera wybudowany i wykończony komplet kapoczeński – obecny piętrowy dom i inny pomniejszy komplet budynków ujętych w czworobok.

Cdn.

Br. Józef Boroń SJ

BIOGRAFIA Z WYWIADÓW I LISTÓW, CZĘŚĆ II



PRACA MISYJNA W KASISI

[Kasisi, 1947] „Rzucam się jak wariat, robię dużo – *multa*, ale wszystko partaczę. Nie robię nic gruntownie – *multum*. Po prostu dlatego, że roboty mam za dużo. Przez prawie 3 miesiące jeździłem, a nie objechałem nawet wszystkich wiosek w kraju Mungule (zachód) oraz Nkomeshya i Undaunda, a coś dopiero mówić o pracy na nich. W tym czasie prowadzę też budowę 3 szkół i 3 domów nauczycielskich oraz przebudowuję zawalony dom w Mombie. Objężdżając wioski, musiałem co parę dni doglądać budow... Ale nie koniec na tym: w Kasisi konieczna była przeróbka szkoły, jadalni, sypialni, a nawet za przeproszeniem loków WC [żargon zakonny, od łac. *locum secretum* – toaleta – przyp. red.], przede wszystkim zaś niezbędna była nowa sypialnia, bo ta, którą mamy, wystarcza tyl-



Kasisi, kościół pw. św. Piotra Klawera wybudowany przez o. Kozłowieckiego.

ko na 30 chłopców, a upchałem w niej 50! Prace około cegieł rozpocząłem z chłopcami z końcem kwietnia i zrobiliśmy 1200 sztuk”.

L. Grzebień SJ, *Wśród ludu Zambii*, t. 2: A. Kozłowiecki, *Listy z misyjnego frontu*, Kraków 1977, s. 19; A. Kozłowiecki, *Moja Afryka, moje Chingombe*, s. 26



Kasisi, dawna rezydencja misjonarzy.

[1948] „Roboty mam moc, więc i głupstw nie mogę popełniać. Przedstawiłem ojcu prefektowi plan robót na rok przyszły: w Kasisi 4 latryny, 2 domy nauczycielskie, klasa i umywalnie; w Kampekete sypialnie; w Momba dom nauczycielski. Prefekt nie chce się nam zgodzić nauczony tegorocznym doświadczeniem, ile to kosztuje. Napisałem znowu do niego list, przedstawiając, że to konieczne, bo w roku 1949 trzeba będzie w Kasisi budować jadalnie i warsztaty, a poza tym w Kasisi przynajmniej 3 nowe domy dla nauczycieli. Nie wiem, co z tego wyniknie, ale trzeba siedzieć tu na miejscu, i nie tylko siedzieć, ale pracować, by zdać sobie sprawę z powagi położenia Kasisi. Był tu superior misji, ojciec Zabdyr, który po zapoznaniu się ze stanem powiedział otwarcie, że żadna stacja nie jest w takich opałach jak Kasisi. Wiesz, że nie należy do ludzi spokojnych, lecz stawianie mi przeszkód doprowadza mnie zaraz do stanu kipienia, wtedy zaś łatwo o krok nierozważny. Módl się zatem wiele, bym głupstw nie robił”.

A. Kozłowiecki, *Listy z misyjnego frontu*, s. 22–23

WIKARIUSZ APOSTOLSKI

[1952] „Kiedy byłem w Kasisi i sam odpowiadałem za swoją robotę, miałem więcej niezależności w pisaniu. Dziś jednak na każdym kroku trzeba uważać, by kogoś nie urazić. Łatwiej jest samemu pracować niż kierować drugimi, to mój najcięższy krzyż. Oderwano mnie od pracy, którą naprawdę bardzo lubiłem i w której nawet przy łasce Bożej coś zrobić potrafiłem, a wpakowano mnie do pracy, której całym sercem nie lubię, a mam wrażenie nawet, że jej nawet nie potrafię”.

A. Kozłowiecki, *Listy z misyjnego frontu*, s. 65

[1952] „Zadaniem naszym na przyszłość jest nie tylko opieka nad tym, co zdobyli nasi poprzednicy, ale usilna praca nad rozwojem misji, by Kościół tak silnie zapuścił korzenie, tak silnie wrosł w tutejszy grunt, by go ani wichry, ani burze, wyrwać nie potrafiły... Musimy intensywnie rozwijać te najważniejsze korzenie: krajowy kler i siostry... W końcu musimy zacząć pracę na terenach dotychczas nietkniętych naszą pracą misyjną. Przede wszystkim trzeba nam łaski Bożej... Po drugie trzeba nam misjonarzy i misjonek... Po trzecie trzeba nam dużo pomocy materialnej”.

A. Kozłowiecki, *Listy z misyjnego frontu*, s. 66–67;

S. Cieślak, *Kardynał Adam Kozłowiecki*, s. 108;

I. Kadłubowska, *Od hrabiego do misjonarza. Adam Kozłowiecki TJ. Życie i dzieło*, Warszawa 2002, s. 268

[1953] „Rządzenia mam już dosyć. Z jednej strony jestem zadowolony, że byłem przez trzy lata na tym stanowisku, ponieważ pod wieloma względami zyskałem bardzo dużo, szczególnie dało mi o wiele więcej doświadczenia, niż mógłbym zdobyć na innym stanowisku. Ale więcej mi już nie potrzeba, lubię misję, a do niektórych rodzajów pracy mam nawet ogromny pociąg. Honory są błyskotliwe i pociągające, ale cena moim zdaniem... zbyt wysoka. Piszę szczerze – bez faryzejskiej pokory: honorów nie chcę, bo... mi się nie opłacają. Szczerze Cię proszę, byś się modlił za mnie, ponieważ wiesz, jak innym człowiekiem byłem, kiedy byłem prostym misjonarzem – lepszym i szczęśliwszym”.

A. Kozłowiecki, *Listy z misyjnego frontu*, s. 74;

A. Kozłowiecki, *Moja Afryka, moje Chingombe*, s. 99

[19 V 1955] „Po zakończeniu mojej wizyty w Stanach Zjednoczonych pragnę Ojcu [Stanisławowi Czapiewskiemu] najserdeczniej podziękować za tyle serdecznej pomocy, niestrudzonej troski oraz za cierpliwość, jaką mi Ojciec okazał. Wiem, że nieraz

wyrządziłem Ojcu przykrość, byłem nieraz niecierpliwy i zgryźliwy – i za to bardzo Ojca przepraszam. Owszem pragnę Ojcu szczególnie gorąco podziękować w imieniu całej Misji za pracę dla jej dobra. Ta praca jest oceniana i należy się Ojcu za nią nasza wdzięczność”.

A. Kozłowiecki, *Listy z misyjnego frontu*, s. 101;

A. Kozłowiecki, *Moja Afryka, moje Chingombe*, s. 135

[6 I 1955] „Mam nadzieję, że mój wyjazd do Rzymu przyspieszy decyzję co do obsadzenia stanowiska wikariusza, a przynajmniej da mi jasne wytyczne do czasu jej podjęcia. Chciałbym dalej pracować na misji i dlatego będę się starał nie dopuścić do takiej sytuacji, która by mi uniemożliwiła pozostanie na naszej misji”.

A. Kozłowiecki, *Listy z misyjnego frontu*, s. 100



Sakra biskupa o. Adama Kozłowieckiego SJ.

BISKUP LUSAKI

[Audiencja u Piusa XII] „Rzadko widywało się fotografie Ojca Świętego roześmianego, zwykle, a nawet prawie zawsze, przedstawiano go poważnego. Mnie jednak utkwiał w pamięci, i to bardzo żywo, naprawdę dziecięco roześmiany. A stało się to tak: kiedy mnie wprowadzono do jego gabinetu i z nieśmiałością usiadłem na wskazanym mi przez niego fotelu, Ojciec Święty po kilku pierwszych pytaniach spytał: «czy jest ci bardzo ciężko w Afryce?». Na to odpowiedziałem: «ależ nigdy w świecie!». Ojciec Święty najpierw spojrział na mnie z wielkim zdziwieniem, a po chwili serdecznie się roześmiał i spytał się: «to jednak nie jest ci tak bardzo ciężko?», a kiedy odpowiedziałem: «ależ naturalnie, że nie. Może czasem być trochę ciężko, ale żeby tak strasznie ciężko było, to znowu nie». Ojciec Święty znowu się roześmiał, chwycił mnie w swoje szerokie ramiona i uściśkał.

Potem zaczął zastanawiać się nad motto do mego herbu biskupiego. Najpierw poddał mi *In Nomine*

Domini; po chwili jednak powiedział: «Jesteś misjonarzem, to może lepiej będzie *Euntes docete*». Po chwili zastanowienia powtórzył dwa razy: *Caritas, Caritas*. Na końcu jednak powiedział definitywnie «weź *In Nomine Domini*». Te myśli samorzutnie płynące z jego wielkiego serca utkwiły mi głęboko w sercu i pamięci wraz z jego dziecięco roześmianymi oczami”.

„Pionierski Trud” 1958/59, nr 21 (zima), s. 3–4;
A. Kozłowiecki, *Moja Afryka, moje Chingombe*, s. 189;
Serce bez granic, s. 87

„Decyzja Stolicy Świętej [dotycząca nominacji biskupiej o. Adama Kozłowieckiego] jest przede wszystkim dowodem wielkiej miłości wobec misjonarzy polskich i za to zobowiązani jesteśmy do naprawdę wielkiej wdzięczności. Z drugiej jednak strony decyzja ta nakłada na naszych polskich misjonarzy, a szczególnie na mnie, bardzo ciężką odpowiedzialność, która by mnie przerażała, gdyby nie ufność w dobroć Bożą i pomoc Jego wszechpotężnej łaski”.

A. Kozłowiecki, *Moja Afryka, moje Chingombe*, s. 137;
Serce bez granic, s. 89

[1958] „W naszej pracy nad pozyskaniem dusz dla Pana Jezusa potrzeba wiele łask Bożych, gdyż warunki



Święcenia kapłańskie Zambijczyków.

mamy naprawdę ciężkie: brak misjonarzy, funduszków, zwalczanie różnych przesądów i zwyczajów, przeciwstawianie się propagandzie przelicznych sekciarzy, którzy obecnie zalewają ten biedny kraj i naprawdę kupują dusze Murzynów. Wikariat mój liczy około 450 000 ludzi, z tego mamy zaledwie 46 000 katolików – więc tyle jest jeszcze do zrobienia... Po misjonarzach szkoły są najważniejsze, gdyż na nich opiera się nasza przyszłość, a szkół mamy za mało: w samej Lusace, gdzie skupionych jest kilkanaście tysięcy Murzynów, znajduje się zaledwie 6 szkół, w tym nasze 3 katolickie, a potrzeba jeszcze 10 z 200 klasami”.

S. Cieślak, *Kardynał Adam Kozłowiecki*, s. 117

METROPOLITA LUSAKI

[11 VII 1959] „Uroczystość wprowadzenia mnie na urząd [Metropolity], a następnie osadzanie nowych księży biskupów w ich stolicach, co sam musiałem przeprowadzić, gdyż Delegat Apostolski wraca zaraz do Mombasy, zabierają mi dożo czasu, a czeka mnie jeszcze wizytacja domów, z którą muszę się spieszyć, by skończyć przed porą deszczową”.

A. Kozłowiecki, *Moja Afryka, moje Chingombe*, s. 201

[1960] „Rząd tutejszy i politycy znają dobrze moje «Pro-Czarne» nastawienie, a jednak mi nikt takiego zarzutu [działania na rzecz Afrykańczyków] nie postawił. Rząd nawet okazuje mi pełne zaufanie. Dla dobra Kościoła jest to bardzo ważne. Miałem nawet długą rozmowę z premierem McMillanem i odniosłem wrażenie, że moje polskie nazwisko przynajmniej nie było przeszkodą w jego nastawieniu”.

A. Kozłowiecki, *Moja Afryka, moje Chingombe*, s. 205

[1965] „My trwamy na posterunku i osiągamy to przynajmniej, że nikt nie może powiedzieć, że Polacy w ogóle nie mają ducha misyjnego, na froncie misyjnym trzymamy omdlałymi ramionami sztandar Polski, potargany i poszarpany. Trzymamy go wprawdzie nie bardzo wysoko, ale jakoś trzymamy. Ale jak długo?”.

A. Kozłowiecki, *Moja Afryka, moje Chingombe*,
s. 235–236

[5 II 1968] „*Te Deum* odmówiłem, by Bogu podziękować za czterech nowych misjonarzy, którzy do nas z Polski przed paru dniami przyjechali. Od 1939 roku pierwsi to misjonarze, którzy tutaj przybyli bezpośrednio z Polski. Proszę też w imieniu moim i misji podziękować tym wszystkim, szczególnie w urzędach,

którzy umożliwili nowym misjonarzom przyjazd do Zambii. Niech im Bóg wynagrodzi!”

A. Kozłowiecki, *Moja Afryka, moje Chingombe*, s. 252

[1969] „[Nowy arcybiskup] obejmuje Archidiecezję, gdzie dzięki Waszym ofiarom stanęły kościoły i kaplice w Matero, Kabwata, Karenda, Mpanshya, Chilanga, Bwacha, Ngungu, szpitale w Mpanshya i Katondwe, Szkoła Gospodarstwa Domowego w Karendzie i wiele innych ośrodków, wybudowanych wyłącznie z Waszych bardzo hojnych ofiar. Wasza pomoc w rozkrzewianiu Wiary św. w tym kraju jest zapisana złotymi literami w niebie, w Sercu Bożym, do którego płyną modlitwy, prośby i dziękczynienia dusz, którym Wy daliście możliwość poznania Pana Jezusa, pokochania Go i służenia Mu. Niezliczona ilość przyjętych do

Wiary św., udzielonych Chrzestów św., rozdanych Komunii św., pobłogosławionych małżeństw, pojednanych z Panem Bogiem w Sakramencie Pokuty, niezliczona ilość rozdanych łask, pociech i błogosławieństw, to wszystko stało się wynikiem Waszej szczodrości, ale przede wszystkim miłości Boga, która otworzyła szeroko niebo i utorowała drogę niezliczonej ilości dusz do zbawienia. Utworzenie Królestwa Bożego w tym kraju, w Zambii, jest też i Waszą zasługą”

A. Kozłowiecki, *Moja Afryka, moje Chingombe*, s. 261–262;

S. Cieślak, *Kardynał Adam Kozłowiecki*, s. 128–129

Wybrał i opracował
o. prof. dr hab. Ludwik Grzebień SJ

ROBIĆ SVOJE, WYNIK POWIERZYĆ BOGU

ARCHIWALNA ROZMOWA Z ADAMEM KOZŁOWIECKIM SJ, CZĘŚĆ II

W jakim stopniu Afryka jest krajem misyjnym?

Pojęcie „Misji” uległo pewnej ewolucji. Najbardziej powszechnym, „popularnym” pojęciem do niedawna było rozkrzewianie wiary Chrystusowej wśród ludów, które o Nim nie słyszały. Grubo jednak przed ostatnim Soborem zdawano sobie sprawę, że tego pojęcia nie można zastosować do „Misji” wśród chrześcijan, którzy w Chrystusa wierzą i Jego naukę przyjmują, ale odpadli od jedności z Kościołem katolickim z powodów doktrynalnych lub dyscyplinarnych (zwykle odrzucając jurysdykcję Biskupa Rzymu – Papieża).

Odpowiadając na pytanie, „w jakim stopniu Afryka jest krajem misyjnym”, powinienem przede wszystkim

oprzeć się na cyfrach ogólnej ludności oraz ludności katolickiej. Dokładnych cyfr, jeśli chodzi o całą Afrykę, nie posiadam, mogę jedynie podać prawdopodobne cyfry odnoszące się do Zambii, powtarzam prawdopodobne cyfry, ponieważ np. według cyfr podanych przez diecezje w 1991 roku ludność Zambii wynosiła 7 718 447 osób („Zambia Catholic Directory 1991”), a według *Annuario Pontificio* na rok 1993 ludność Zambii wynosi 7 500 719 osób. Nie wiem, jak w innych krajach sporządza się te statystyki, ale przypuszczam, że mniej więcej w ten sam sposób jak w Zambii. Cenzus ludności sporządza się „jak za cesarza Augusta”, tylko co pewien czas, nie ma ogólnego prowadzenia ksiąg stanu cywilnego (księga narodzin i zgonów), tylko ocenia się „na oko”. Obecnie ocenia się liczbę ludności Zambii na 8 500 000.

Bardziej (choć niezupełnie) wiarogodne są liczby katolików i katechumenów podawane przez biura diecezjalne, według których ich liczba wynosiła w 1991 roku 1 788 712 dusz, co w 1991 roku stanowiło 23,17 proc. ludności, przy tym „Zambia Catholic Directory 1991” zaznacza, że wszystkie cyfry są dokładne, jeśli chodzi o liczbę ogólnej ludności podaną przez urzędy państwowe, ale liczba katolików jest prawdopodobnie wyższa. W każdym razie Zambia jest jeszcze na pewno krajem misyjnym, choć nie można powiedzieć, jakoby niekatolicy tutaj o Chrystusie nie słyszeli, ponieważ mamy tu wiele misji chrześcijańskich, ale niekatolickich, bardzo szerzy się sekciarstwo (oraz np. Świadkowie



Wierni przed kościołem w stacji misyjnej.

Jehowy, których nawet niektórzy niekatolicy nie zaliczają do chrześcijan), ponadto od kilkunastu lat odczuwamy bardzo silną presję w kierunku islamizacji Afryki. Przynajmniej połowa ludności zachowuje tradycyjną wiarę Afrykańczyków, którą jedni nazywają animizmem, inni pogaństwem. Jednak nawet i oni wiedzą już o Chrystusie przynajmniej coś niecoś, ale tkwią w tradycyjnej wierze.



Młodzież oczekująca na przyjazd misjonarza.

Podam jeden przykład. Przy Misji Kalwińskiej (Południowo-Afrykańskich Burów) osiadł jeden starszy Murzyn. Gdy kalwini tę misję zamknęli, ten staruszek przyszedł do mnie, prosząc o przyjęcie na Misję w Kasisi. Prefekt Apostolski, mgr Wolnik, powiedział mi, że bym go przyjął. Jedna z siostr powiedziała mu wreszcie, że powinien poprosić o chrzest. Powiedział jej wtedy, że on już zna chrześcijaństwo. Siostra zapytała go, co wie o chrześcijaństwie? Odpowiedział, że „Christmas” – Boże Narodzenie. „A co to jest Christmas?” – siostra go zapytała. Odpowiedział: „Biali dobrze jedzą i dają Christmas-bokoshi (prezent gwiazdkowy)”.

Żart żartem, ale zdaje mi się, że nasi ludzie coś o Chrystusie wiedzą, jedni więcej, inni mniej. Zdaje mi się też, że wierzą w jednego Boga, ale Nim się zbyt nie przejmują, a przyczyną tego jest, że ich tradycyjna wiara w praktyce zbyt jest przejęta strachem, wierzą w „duchy”, także swoich przodków, i te duchy czczą, ponieważ one mogą się mścić i mszczą się za różne zaniedbania. My głosimy, że Bóg jest Miłością, że jest dobry i nas miłuje – i dlatego są skłonni do wyobrażenia, że nie trzeba się Nim zbyt przejmować, trzeba się raczej starać udobruchać te „duchy”, co nam mogą zaszkodzić.

Pewien afrykański dygnitarz Kościoła bardzo stanowczo mi zaprzeczał, ale ten zawsze, moim zdaniem, bezkrytycznie bronił wszystkiego, co afrykańskie, raz nawet wyraził się, że nie Afryka powinna być schryścianizowana, lecz chrześcijaństwo powinno być afrykanizowane. Zależy, jak się to pojmuje.

Druga sprawa, jaką musimy pamiętać: Afryka jest krajem misyjnym, bo choć wielu jest takich, co przeszli dwuletni katechumenat i „nauczyli się” Katechizmu, jednak co innego wiedzieć, a co innego praktykować. Wiara martwa i wiara żywa. Nieraz im powtarzam, że Lucyfer zna Katechizm nawet lepiej ode mnie, ale czy jest on chrześcijaninem? Niektórzy mówią, że mamy za wielu „ochrzczonych pogan”. Wiara u wielu jest jeszcze bardzo płytka, mentalność tradycyjnych wierzeń jeszcze bardzo mocna. Pewien biskup z Zairu w połowie swej diecezji miał już ponad 90 proc. katolików, ale utrzymywał jeszcze wielkie i wspaniałe małe seminarium dla kandydatów do kapłaństwa. Powiedziałem mu, że nie rozumiem, dlaczego jeszcze utrzymuje małe seminarium, jeżeli w połowie swej diecezji ma ponad 90 proc. katolików. Odpowiedział, że choć w tej połowie jest tylu katolików, jednak w rodzinach nie ma jeszcze pełnej chrześcijańskiej atmosfery.

Jak trudno tym ochrzczonym zastosować się do wymogów wiary, gdy zaczynają myśleć o małżeństwie! Większość żyje przez dłuższy czas bez ślubu kościelnego i dopiero później decydują się na uregulowanie swego małżeństwa. To jest tylko najbardziej widoczny znak płytkości ich wiary. Trzeba włożyć w ich formację jeszcze dużo wysiłku i mieć jeszcze więcej cierpliwości. A wpływ europejskiej subkultury pomocny nie jest... Muszę jednak też powiedzieć, że jak już wreszcie uregulują swoje małżeństwo, wielu staje się bardzo przykładnymi katolikami. Widać, że Pan Bóg ma wiele wyrozumiałości i swej łaski im nie skąpi, bo zresztą wiary nie odrzucili (jak niestety wielu wśród białych, dzięki Bogu, że tylko niektórzy), tylko jest jeszcze za słaba.



Po święceniach kapłańskich Johna Mkawe.

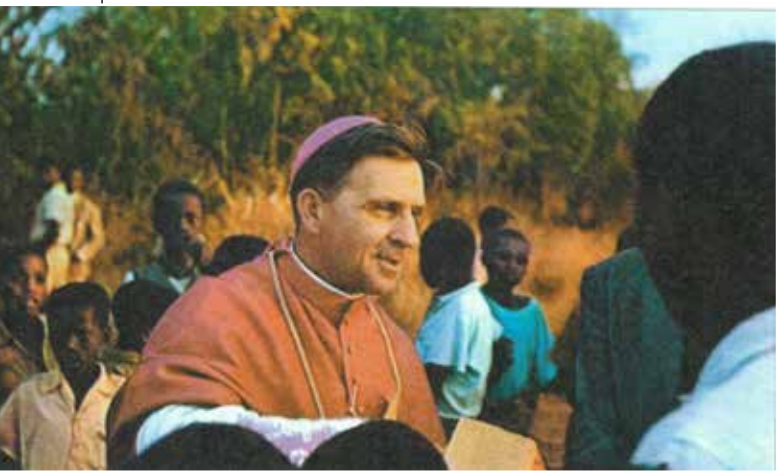
Czy ma Ksiądz Kardynał kontakty z Polonią zambijską i polskimi misjonarzami?

Kiedy przybyłem do Zambii w 1946 roku, było tu dużo Polaków i Polek, niektórzy w tzw. Grupie Cyprijskiej (ci, którzy wyjechali z Polski już we wrześniu 1939 roku), ale większość to ludność cywilna deportowana z terenów wschodnich „na Syberię” i wywieziona ze Związku Sowieckiego razem z Armią Generała Andersa. Z tymi miałem dużo kontaktów, dwa razy nawet udzielałem im rekolekcji (w Livingstone i w Lusace).



Procesja Bożego Ciała w Lusace, zorganizowana przez polskich uchodźców wojennych w 1947 roku.

W latach pięćdziesiątych dosyć wielu jednak się rozjechało. Jedni wrócili do Polski, inni gdzie indziej, zwłaszcza do Anglii. W 1950 roku zostałem mianowany administratorem apostolskim Wikariatu Apostolskiego Lusaki i wtedy wyznaczyłem ks. Tadeusza Walczaka SJ na kapelana Polaków w Lusace, bo pewna liczba tutaj pozostała. W niedziele i inne święta (również narodowe) odprawiano Mszę św. z kazaniem dla Polaków i to było odpowiedzialnością ks. Walczaka



Abp Adam Kozłowiecki z młodzieżą.

(także były więzień Stalina i skazany na śmierć, uratowany jednak przez wybuch wojny z Niemcami i zwolniony na skutek układu pomiędzy gen. Sikorskim i Stalinem, a następnie kapelan w II Korpusie gen. Andersa). Jednak w 1964 roku, gdy powstała niepodległa Zambia, prawie wszyscy Polacy opuścili Zambię, a obecnie z poprzedniej grupy nie ma nikogo, tylko od czasu do czasu przybywają inni, choć bardzo niewielu, przeważnie na czasowe kontrakty. W Lusace są dwaj polscy lekarze, jeden przybyły z Anglii wraz z rodziną, drugi na kontrakcie rządowym. W Kabwe również jest polski lekarz na kontrakcie z zarządem kopalni. Z tymi jestem w kontakcie, ale jedynie okazjonalnym, ci mnie dosyć często odwiedzają, ja rzadko rewizytuję, bo samochodu nie prowadzę, a do Kabwe mam ponad 40 km, do Lusaki blisko 200 km.



Abp Adam Kozłowiecki jako zwykły misjonarz pracuje w parafii kierowanej przez ks. Marcelego Prawicę.

O wiele więcej mam kontaktów z polskimi misjonarzami, szczególnie z księżmi diecezjalnymi, ponieważ z nimi prawie stale od chwili mej rezygnacji z arcybiskupstwa Lusaki mieszkam i pracuję. Przez 13 lat byłem wikarym ks. Marcelego Prawicy z diecezji lubelskiej (obecnie radomskiej) w Chingombe, a teraz jestem wikarym ks. Jana Krzysztonia z archidiecezji lubelskiej w Mpunde. Do Chingombe było za daleko (220 km od Kabwe), ale do Mpunde jest tylko nieco ponad 40 km, więc tutaj wielu księży polskich z innych diecezji wpada na dzień albo na parę dni „po drodze” do Lusaki, stolicy Zambii. Dwa lub trzy lata temu dałem też rekolekcje polskim księżom diecezjalnym w Chilonga, w diecezji Mbala.

Cdn.

WSPÓŁCZEŚNI MISJONARZE

POCZTÓWKA Z ZAMBII

TRUDNY OKRES

Dwa, a może nawet trzy poprzednie lata mieliśmy wystarczającą ilość deszczu i dobre zbiory. Ludzie jakby się trochę „odbili”. Cieszyło to, bo można było się koncentrować bardziej na szkole radiowej i szukaniu funduszy na jej wyposażenie. Ludzie chętniej angażowali się w różne projekty rozwojowe.

Niestety ostanía pora deszczowa była tak krótka [pora deszczów w Zambii zwykle trwa od listopada do kwietnia – przyp. red.], że nic nie urosło. Różne tamy wykopane w wioskach, które zapewniały wodę dla zwierząt i w których czasem były ryby, w tym roku wyschły. Przypomina mi to lata 1996–1997, kiedy miała miejsce podobna susza i większość czasu zajmowało nam rozwożenie kukurydzy do wiosek, by ratować ludność przed głodem. Nasz coroczny Festiwal Wiary, jak i koncert muzyki Tonga stały pod znakiem zapytania. Ale gdy z powodu braku żywności chcieliśmy je odwołać, spotkaliśmy się z protestami ludzi. „Jakoś sobie poradzimy – mówili. – Festiwal i koncert muszą być!”

FESTIWAL MIMO WSZYSTKO

I rzeczywiście festiwal był pięknym świadectwem. Ludzie mówili: „Jeżeli Bóg nie może, to kto może?”. Okazało się, że było biedniej, ale ludzie zjedli, napili się chibwantu (lokalny napój zrobiony z kukurydzy) i panował wielki entuzjazm. Wszyscy przypominali sobie nawzajem, że trzeba dziękować, być wdzięcznym Bogu i ludziom, że trzeba się do Boga przytulić, bo to On jest naszą nadzieją.



Koncert muzyki Tonga 2019.

Koncert Tonga, mimo że z powodu braku funduszy trochę skromniejszy, zaskoczył nas treścią piosenek. Dużo padło słów o tym, że nie wystarczy mówić, dialogować, ale że trzeba czasem ponieść ofiarę i „stracić”. W kilku piosenkach odwoływano się do przykładu Pana Jezusa, który oddał życie, poniósł ofiarę, byśmy mieli szansę na lepsze życie i na zbawienie.

NIESPODZIEWANY GOŚĆ I JEGO POMOC

Na koncert niespodziewanie przybył dobrze prosperujący biznesmen z Południowej Afryki, z pochodzenia Zambijczyk. Urodził się niedaleko od Chikuni. Słuchał tych piosenek w strefie dla widzów, nagle podszedł do mnie i powiedział, że chce ofiarować coś dla biednych w parafii. Myślałem, że przyśle kilka worków kukurydzy. Ale w swoim przemówieniu, które wygłosił pod koniec koncertu, zapowiedział, że podaruje dwa tysiące worków mąki kukurydziejanej (podstawowe pożywienie Zambijczyków) oraz pięć tysięcy worków ziaren do sadzenia. Ja sobie jednak pomyślałem: „Uwierzę, jak zobaczę”, bo co jakiś czas mamy takie obietnice, z których nic nie wynika.



Niespodziewana pomoc: 2000 worków mąki kukurydziejanej oraz 5000 worków nasion kukurydzy dla poszkodowanych przez klęskę suszy parafian Chikuni i Kasisi.

Trochę się musiałem mu ponaprzykrzać jak kobieta sędziemu w Ewangelii (por. Łk 18,1–8), ale dwa tysiące worków mąki kukurydziejanej zjawiło się w końcu u naszych drzwi (to 50 ton). Nie jest to co prawda tak dużo na 20 tysięcy ludzi w parafii, ale

pozwoili przeżyć najbiedniejszym rodzinom przez dwa – trzy tygodnie. Obecnie kończymy dostarczanie tej żywności do rodzin.

Mamy nadzieję, że worki z nasionami też dotrą, bo jeśli będzie dobra pora deszczowa, to ludzie będą mieli co sadzić i będzie żywność. Jeżeli nie będzie kukurydzy, to niestety na inne projekty nie będzie czasu i funduszy. Modlimy się więc o deszcz i dobre zbiory.

Nasze radiowe audycje o kilku bardzo biednych rodzinach spowodowały, że wpłynęły pieniądze od ludzi z różnych stron świata słuchających naszego radia przez Internet. Wczoraj mogliśmy za te pieniądze kupić 44 worki mąki i dzisiaj je zawozimy w teren, gdzie ludzie jedzą korzenie, które trzeba gotować ponad sześć – osiem godzin, by były jadalne.

KONCERT JUBILEUSZOWY I PLANY NA PRZYSZŁOŚĆ

Wspomniany Koncert Tonga miał w tym roku już dziewiętnastą edycję. W przyszłym roku odbędzie się więc dwudziesty, jubileuszowy koncert. Gdy przygotowaliśmy się do tegorocznego koncertu, zamarliśmy z wrażenia, bo trzy słupy podtrzymujące dach estrady, zrobione z drewnianych bel (używanych tu na elektryczne słupy), są całkiem zjedzone w środku przez termity. Trzeba zatem się postarać, by w przyszłym roku było bezpiecznie.

W tej chwili poszukuję aluminiowej konstrukcji, która mogłaby służyć wiele lat. Taka konstrukcja może



Tańczące młode artystki.

zwiększyć nasze szanse nie tylko na wynajmowanie sceny w pakiecie z zadaszeniem i nagłośnieniem. Kiedyś produkcja taśm oraz płyt CD i DVD z muzyką była naszym sposobem dofinansowania funkcjonowania radia (niestety wykończyły nas kopie pirackie), teraz być może ten pakiet do wypożyczania pomoże nam coś zarobić na prowadzenie radia i realizację jego projektów.

Jak widzicie, wiele trosk przysparza nam teraz susza. Dziękuję wszystkim, którzy wspierają mnie swoją modlitwą. Dziękuję za każdy najdrobniejszy datek na misyjne cele i może nawet bardziej za tę modlitwę. Teraz za modlitwę o deszcz.

O. Andrzej Leśniara SJ

AFRYKAŃSKIE BOŻE NARODZENIE



Nasiona kukurydzy już są. Trzeba bezzwłocznie zabrać się do pracy.

Jak wyglądają u nas Święta Bożego Narodzenia? No cóż, priorytetem dla mieszkańców jest tu zawsze deszcz. Dla większości czas świąt to radość z deszczu, który zaczyna padać przed Bożym Narodzeniem. Wokół nagle robi się zielono. Rośnie trawa, na której wreszcie mogą odkarmić się chude krowy i kozy. Poza tym dla ludzi tu żyjących urodziny dziecka to wielkie szczęście, stąd Święta Bożego Narodzenia są radosne również z tego właśnie powodu – świętowania narodzenia naszego Zbawiciela. Mamy tu także tradycję jasełek. Młodzież i dzieci długo się do nich przygotowują. Gdy słysząc ćwiczenie kolęd, to znak, że święta zbliżają się wielkimi krokami.

JASEŁKA Z „ROZMACHEM”

Te barwne przedstawienia wystawiane są zazwyczaj po wieczornej pasterce, ale nie zawsze się to udaje.

Kiedyś na przykład po skończonej Mszy św. czekamy wszyscy na jasełka, kiedy się zaczną, i nic... W końcu organizatorzy przychodzą mi powiedzieć, że jasełek nie będzie, bo „Maryja” nie dotarła. Rzeka wylała i nie może przejść. Innym razem bożonarodzeniowe jasełka tak rozpałyły wyobraźnię miejscowych artystów, że



Orka. Przygotowywanie roli pod zasiew kukurydzy.



Pole już przygotowane do sadzenia kukurydzy.



Sadzenie kukurydzy.

oglądałem nie tylko drogę do Betlejem, narodzenie i rzeź niewiniątek. Przerwałem jasełka, gdy występujący w nich dochodzili prawie do ukrzyżowania Pana Jezusa... Ja tymczasem chciałem przed świtem wrócić do domu, obawiając się też, czy wzbierające wody nie odetną mi drogi.

Nauczony więc doświadczeniem wcześniej kontroluję przygotowania, aby w scenariuszu wierni nie zaszli za daleko. Oczywiście to się im nie podoba, ponieważ aktorzy mają już swoje role i chcieliby je odegrać. W jednej stacji misyjnej najbardziej niezadowolony był „Judasza”, bo obciąłem jego kwestię. A wydawałoby się, że nikt nie chciałby być Judaszem...

PRZYCHODZI PORA DESZCZÓW...

Kiedy pada deszcz, każdy, kto tylko może, pracuje w polu. Albo orze pługiem zaprzęgniętym w krowy, albo – jeśli nie ma krow – robi dołeczki motyką, by w ten sposób przygotować pole na zasiew kukurydzy. Przez kilka lat deszcz dopisał i w zeszłym roku mieszkańcy, myśląc, że będzie tak dalej, obsiali każdy skrawek ziemi, mając nadzieję, że w końcu się odbiją. Niestety, deszczu spadło mało i ludzie zostali z niczym. By im pomóc, zacząłem pisać listy z prośbą o wsparcie do przyjaciół. Z różnych źródeł udało się nam zgromadzić pieniądze na nasiona, nawozy sztuczne i mękę kukurydzianą.

Dlatego ci, którzy mają pola i mogą pracować, dostaną pakiet składający się z: 5 kg nasion kukurydzy, jednego worka nawozu D-Compound, jednego worka Urela. Ziemia jest tu tak uboga, że bez nawozu praktycznie nic się nie urodzi. Rozdamy też mękę kukurydzianą, zwłaszcza tym, którzy nie mogą pracować. Ci, którzy mają krowy, używają też w polu nawozu krowiego, ale jest go zbyt mało. Większość mieszkańców jest teraz zależna od pomocy parafii. Operacja przekazania darów jest dość skomplikowana, bo to prawie 150 ton do rozwiezienia po bardzo złych drogach. Dlatego w tym roku moje przygotowania do świąt schodzą na dalszy plan. Przede wszystkim trzeba ocalić ludzi przed głodem i śmiercią.

Kilka dni temu spadł pierwszy deszcz. Wszyscy patrzą w niebo z nadzieją.

*Z podziękowaniem
za wsparcie finansowe i modlitwę*

Andrzej Leśniara SJ

ŚLADAMI BŁ. JANA BEYZYMA

JANA BEYZYMA SJ MIŁOŚĆ DO OJCZYZNY

Jedną z bolesnych „trzaseczek Krzyża Pańskiego” była dla Ojca Beyzyma tęsknota za opuszczonym dobrowolnie krajem ojczystym, za konwiktem chyrowskim, za Krakowem i jego dwoma Karmelami. Samotny Polak na Madagaskarze, wśród obcych, tęsknił za polską mową i pocieszał się listami, które niekiedy wydłużały się, bo ich autor chciał choć tak „nagadać się po polsku”. „Kontent jestem, kiedy się da ze swoimi po swojemu listownie pogwarzyć, bo tu nigdzie ani pół słówka polskiego nie można usłyszeć”.

GADAŁBY I GADAŁ PO POLSKU...

Prosił o przysyłanie mu z Krakowa „Misji Katolickich”, bo w nich docierała do niego mowa polska. Chętnie je czytał, bo była to dla niego pociecha na obczyźnie. Tak zupełnie sam, „gorzej niż kameduła”, chętnie, choć listownie, „gadałby i gadał po polsku”.

Szczególnie ostro doskwierała mu tęsknota za Chyrowem, za chłopcami w konwikcie, w infirmarii. Tęsknił „za nimi bardziej niż oni wszyscy razem za rodzicami”.

Gdyby nie wola Matki Najświętszej, która go „odkomenderowała” do trędowatych, to „wplaw wróciłby do kraju”, a gdyby wiedział, że w kraju byłby bardziej pożyteczny, to chciałby być odwołany.

Wszystko, co przypominało mu rodzinne strony, nawet kasza gryczana, nawet grzyby suszone przysłane mu przez karmelitanki krakowskie, wzruszało go i radowało. Dumny był z tego, że Polska, że jego rodacy przez swoje jałmużny budują szpital w Maranie, że on sam, budowniczy, jest z Polski. Ufał, że ta budowa „za polski grosz” ściągnie „większe błogosławieństwo Boże na nasz kraj, na nasz biedny naród”. Zdawał sobie sprawę z tego, że kraj jest biedny, że tam też budują nowe kościoły, a jednak przysyłają datki na schronisko dla trędowatych. Był za to wdzięczny i dumny zarazem ze swojego narodu.

LEKARSTWO NA TĘSKNOTĘ ZA OJCZYZNĄ

Nabrawszy przekonania, że jego powołaniem z woli Matki Najświętszej jest praca dla trędowatych, myśl o powrocie do Polski odrzucał jak myśl nieczystą, choć tak bardzo tęsknił za krajem ojczystym. W liście do ks. Kraupy wyznał, że jego chorobą jest tęsknota za krajem. Jak się z niej leczył? Modlitwą św. Ignacego: „Zabierz, Panie, i przyjmij całą moją wolność...” (Ćwiczenia duchowne, nr 234).

Gdy tęsknota za krajem i prowincją polską dawała mu się nazbyt we znaki, przypominał sobie słowa Matki Przełożonej Karmelu na Wesołej: „Jezus uwięziony w Najświętszym Sakramencie dla mnie, ja uwięziona dla Niego”. To mu pomagało w jego oddaleniu od Polski i „uwięzieniu” na Madagaskarze.

Nieominiski
osob.

J. B.

18 VII 1912 Liananau

Drogi Ojciec - Płk.
Wiem jak O. obawny jestem dla tego ubieram się
w ciepłą sukienkę i ciepły sweter, ale nie już za tego nie
Ta od O. mi miła, bo ostatni Jego list był z 22
Moja O. wie, że jestem z Krakowa i zapytaniem jak
zdrowie i co się z O. dzieje? ja też tego nie wiem
bo nie chciałem się O. naprzykrzać, podał mi Jego adres
leżący, a potem strapiła mnie febra (dziś tego
już jestem zupełnie zdrowy), a potem mnóstwo objawów
ot i powróciło się do niego - dostałem od
W. Kaucy list bardzo pocieszający i dodający nadziei
że Matka Najświętsza wysłuchuje prośby, ale że W. Kaucy
powiedziała swemu bratu że ten O. nie zgadza
robie mi miła, razem - nie copiszę, nie mogę
nosić sweter na O. list - W. Kaucy skłonił
w porcie dla tego powołanie przychodzi, upewniam
o niczym ile zgodzi i naturalnie na początku
z tym naszym sweterem i sweterem - Do mi mi

Fragment ostatniego listu o. J. Beyzyma pisanego przed śmiercią.

Dwie były jego tęsknoty: jedna za krajem, za konwiktem chyrowskim, a druga za tak wyczekiwaną budową schroniska dla trędowatych, którego wciąż nie mógł rozpocząć, a potem dokończyć.

Mysła i wyobraźnią często był w infirmerii chyrowskiej lub w Karmelu łobzowskim. Ale zapytajmy, jaki robił użytek ze swej tęsknoty za krajem. Była to ofiara. „Niech za to będzie chwała Chrystusowi i Matce Najświętszej”. W całej tej udręce serdecznej starał się Ojciec Beyzym zdobyć obojętność wobec wszystkiego, co pozostawił za oceanem, żeby nie tęsknić, nie żałować tego, co się raz Bogu oddało. Jedynie wracał często pamięcią i sercem do Chyrowa i Karmelu. Nie mógł się oprzeć, żeby nie wspomnieć „o ślicznym Wołyniu i Podolu”, ale „to już nie dla mnie”. Gdy mu Matka Ksawera sugerowała, że mógłby na krótki odpoczynek wrócić do kraju, odpowiedział: „Nic jeszcze nie zrobiłem dla większej chwały Bożej, a odpoczynek będzie dopiero w niebie”.

POLSKI GROSZ NA DZIEŁO POLSKIEGO MIŁOSIERDZIA

Ze wszystkich listów Ojca Beyzyna pisanych do kraju z Madagaskaru w latach 1898–1912, a zatem w latach, kiedy Polska była rozdarta i w niewoli zaborców, wyziera przedziwna i bardzo spokojna pewność, jakieś głębokie odczucie, że kraj jest jeden, że Polska jest jedna, że naród cały jako jeden naród, niezależnie od zaborców, pomaga mu budować schronisko, że od Polaków, obojętnie z którego zaboru, płynie „polski grosz” na to dzieło polskiego miłosierdzia.

Listy Ojca Beyzyna są dla historyka dowodem, jak mocne było w nim samym i w ogromnej większości Polaków przeświadczenie o jedności Ojczyzny i Narodu, jak głębokie było poczucie przynależno-



Ojciec Jan Beyzym pracuje wraz z najemnikami przy ścinaniu góry, aby zyskać więcej miejsca na szpital.

ści do wspólnej Ojczyzny, rozdartej wrogą przemocą obcych, ale zawsze umiłowanej i jednej w sercach jej dzieci. Przecież za tę jedną Polskę walczył jego ojciec w powstaniu styczniowym (1863 r.).

Gdyby ktoś nie wiedział o rozbiorach Polski, toby się z listów Ojca Beyzyna o tym nie dowiedział. Jego miłość Ojczyzny i Narodu, tego, co trwa, była ponad zmiennościami polityki i historii. To dobrze świadczy o nim i o jemu współczesnych Polakach. Ten człowiek, ci ludzie nosili w sobie ziarno polskości, z którego miała się „Ta, co nie zginęła” odrodzić do samodzielnego życia – także państwowego.

Ostatnim wyrazem miłości Ojca Beyzyna do Matki, Królowej Polski, i do ukochanego kraju była jego modlitwa przedśmiertna: „O Matko najlepsza, pamiętaj o mnie, o moim kraju...”.

O. Mieczysław Bednarz SJ

ŚWIĘTOWANIE W MARANIE



12 października to dla Marany wyjątkowe święto. Jest to bowiem dzień, kiedy w liturgii wspominamy bł. Jana Beyzyna, który przez ponad 13 lat służył na Madagaskarze chorym na trąd – najbiedniejszym z biednych, odrzuconym przez wszystkich, pozbawionym ludzkiej godności, zepchniętym na społeczny margines. To właśnie on, przed ponad stu laty, wybudował w Maranie szpital, który do dziś służy wszystkim dotkniętym tą straszną chorobą.

Wspomnienie bł. Jana Beyzyna w Maranie na Madagaskarze. Msza św. z licznym udziałem wiernych.

NIESPODZIEWANE RZESZE WIERNYCH

Od czasu beatyfikacji Jana Beyzyna (2002 r.), każdego roku 12 października w Maranie uroczyste czci się pamięć o tym wielkim, szlachetnym Polaku z sercem bez granic, człowieku, który pozwolił innym poznać i zakosztować miłości Chrystusa. Tak też było i w tym roku. Trzeba jednak dodać, że nigdy wcześniej Marana nie widziała tak ogromnej liczby pielgrzymów, którzy przybyli na to właśnie święto. A było ich ponad 4 tysiące. Kim byli i skąd przyszli?



Świętowanie wspomnienia bł. Jana Beyzyna,
12 października 2019 roku w Maranie.

MŁODZIEŻOWA WSPÓLNOTA EUCHARYSTYCZNA

Na Madagaskarze działa Młodzieżowa Wspólnota Eucharystyczna (Fitambanana Eokaristia Tanora). Należy do niej młodzież szkolna i studencka. W diecezji Fianarantsoa, do której należy Marana, ruch ten działa bardzo prężnie. Taka wspólnota istnieje w każdej parafii dystryktu misyjnego (w diecezji jest 36 dystryktów). W każdej diecezji jest kapłan odpowiedzialny za ten ruch, a wspólnoty parafialne też mają swoich opiekunów – księży. Nad całością działań Fitambanana Eokaristia Tanora czuwają ojcowie jezuici.

Na Madagaskarze Młodzieżowa Wspólnota Eucharystyczna jest bardzo liczna. W samej tylko diecezji Fianarantsoa należy do niej ponad 4 tysiące dziewcząt i chłopców. Właśnie w tym roku, w Fianarantsoa, obchodzi ona setną rocznicę powstania. Z okazji tego pięknego jubileuszu, w dniach 10–14 października, odbył się diecezjalny Kongres Eucharystyczny. A że 12 października w Maranie czci się pamięć bł. Jana

Beyzyna, organizatorzy zdecydowali, że uczestnicy Kongresu powinni koniecznie wziąć udział w tym świętowaniu. I tak się stało.

Szkoła św. Franciszka Ksawerego i wspólnota jezuیتów z Fianarantsoa były odpowiedzialne za przygotowanie całej uroczystości. Dużo wcześniej wysłano zaproszenia do parafii, domów zakonnych i szkół. Zgłosiło się ponad 4 tysiące osób z różnych miasteczek i wiosek diecezji. Do Marany wybrali się piechotą, jak na pielgrzymów przystało. Szli (niektórzy 8 km, a nawet 10 km), modląc się i śpiewając.



Ojciec Józef Pawłowski SJ oraz dzieci i młodzież, członkowie Ruchu Fitambanana Eokaristia (FET).

CELEBRACJA W MARANIE

Marana jest zbyt mała, by pomieścić takie tłumy, ale jakoś się udało. Msza św. została odprawiona na dziedzińcu domu sióstr ze Zgromadzenia św. Józefa z Cluny, przy ołtarzu polowym. Trwała ponad 2 godziny. Głównym celebransem był o. Odon Andrianarisoa, odpowiedzialny za Wspólnoty na całym Madagaskarze. Obok o. Faly Soloniandry, odpowiedzialnego za Wspólnoty w diecezji, w koncelebrze uczestniczyło 10 kapłanów z różnych parafii oraz kapelan szpitala w Maranie. Siostra Sabine, dyrektorka szpitala, przypomniała postać bł. Jana Beyzyna i jego zasługi. Homilię wygłosił o. Guillaume Rakotonandratoniarivo, rektor Szkoły św. Franciszka Ksawerego w Fianarantsoa. Mówił o zadaniach i celach Młodzieżowej Wspólnoty Eucharystycznej. Nawiązał do bł. Jana Beyzyna, jak również do czterech preferencji apostolskich Towarzystwa Jezusowego, które na najbliższych 10 lat wyznaczył Ojciec Generał dla całego Towarzystwa.

Mimo żaru lejącego się z nieba (a było ok. 30 st.), młodzież uczestniczyła w Mszy św. w wielkim skupieniu. Było dużo modlitwy, śpiewu, a także tańców liturgicznych. Młodzi składali przyrzeczenie, w którym deklarowali codzienne uczestnictwo w Eucharystii oraz modlitwę w intencji Kościoła i Ojca Świętego.

ODWIEDZINY U OJCA BEYZYMA

Po Mszy św. pielgrzymi odwiedzili kaplicę i modlili się przy sarkofagu, w którym złożone są doczesne szczątki Ojca Beyzyma. Modlili się w różnych intencjach, prosząc o jego wstawiennictwo u Pana. Wielu z nich składało przy sarkofagu swoje prośby na piśmie. Następnie odwiedzili istniejące tu od niedawna niewielkie muzeum poświęcone Założycielowi Marany. Niektórzy po raz pierwszy usłyszeli o tym niezwykłym misjonarzu i zafascynowali się jego życiem i posługą wśród trędowatych.

O godz. 16.00 w kaplicy, przed obrazem Matki Bożej Częstochowskiej, młodzi mieli możliwość odmówić różaniec wspólnie z chorymi z Marany. Tutaj, o tej właśnie godzinie, różaniec odmawia się codziennie. Jest to modlitwa w różnych intencjach, a także dziękczynna za wszystkich dobroczyńców Marany.

Pielgrzymka do Marany z pewnością była dla młodych niezwykłym przeżyciem i na długo pozostanie w ich pamięci. Na pewno o „spotkaniu” z polskim jezuitą – Ojcem Janem Beyzymem – opowiedzą najbliższymi, także swoim rówieśnikom. To cieszy, bo w ten sposób pamięć o Polskim Samarytaninie



Opiekunka Marany.

będzie trwała. To daje nadzieję, że czcić go będą nie tylko mieszkańcy Marany, ale także całej tej egzotycznej wyspy, na której swoim życiem świadczył o miłosiernej miłości Boga.

*O. Józef Pawłowski SJ,
kapelan szpitala dla chorych na trąd
w Maranie*

MODLITWA O KANONIZACJĘ BŁOGOSŁAWIONEGO OJCA JANA BEYZYMA SJ

Boże miłosierdzia i Ojcze wszelkiej pociechy!

Ty przez sługę swego Jana Beyzyma okazywałeś miłosierdzie i pocieszenie najniešťszczęśliwsiym spośród nieszczęśliwych, opuszczonym i odepchniętym, odgrodzonym od społeczności ludzkiej murem lęku i pogardy. Przez Twoje w nim miłosierdzie i przez jego wstawiennictwo uczyn nas narzędziem Twojej opatrności, dobroci i pocieszenia dla wszystkich, którzy tego potrzebują. A jeśli woli Twojej nie jest to przeciwne, racz go zaliczyć do grona swych świętych, nam zaś udzieli łaskawie tego, o co Cię ufnie prosimy z pragnieniem Twojej chwały i naszego dobra.

Przez Chrystusa Pana naszego. Amen.

Szkatuła z relikwią bł. Jana Beyzyma w Bazylice Najświętszego Serca Pana Jezusa w Krakowie, przy ul. Kopernika 26.



KONKURS LITERACKO-PLASTYCZNY

NAGRODZONE PRACE. DRUGIE NAGRODY CD.

JULITA KACHNIC

Zespół Szkolno-Przedszkolny w Baczynie



Zespół Szkolno-Przedszkolny w Baczynie



NOWY OGÓLNOPOLSKI KONKURS LITERACKO-PLASTYCZNY dla dzieci, młodzieży i grup rodzinnych

„BEYZYM – KTO TO TAKI?”

Referat Misyjny Prowincji Polski Południowej Towarzystwa Jezusowego



organizuje

OGÓLNOPOLSKI KONKURS LITERACKO-PLASTYCZNY DLA DZIECI, MŁODZIEŻY I GRUP RODZINNYCH

BEYZYM – KTO TO TAKI?

Celem konkursu jest popularyzacja wiedzy na temat życia i działalności bł. Jana Beyzyma poprzez uczniowskie rysunki i listy, a tym samym wspieranie postaw prospołecznych i rozwijanie empatii dzieci i młodzieży.

Konkurs adresowany jest do dzieci, młodzieży i grup rodzinnych, w trzech kategoriach wiekowych. Wszystkie prace z kartą zgłoszeniową powinny trafić do Organizatora do 30 maja 2020 roku. Laureaci otrzymają dyplomy i nagrody. Wybrane prace zostaną opublikowane w biuletynie „MISYJNYM SZLAKIEM” i zamieszczone na stronie www.beyzym.pl.

Wszelkie informacje o konkursie publikowane są na stronie internetowej: www.beyzym.pl.

Pytania dotyczące konkursu można kierować na adres janbeyzym@gmail.com.

PARTNER

Stowarzyszenie Polonistów
przy Wydziale Polonistyki Uniwersytetu Jagiellońskiego



STOWARZYSZENIE
POLONISTÓW



LISTY Z KRAJÓW MISYJNYCH

MADAGASKAR

POGŁĘBIAJĄCE SIĘ UBÓSTWO

*List Dyrektora College'u św. Franciszka z Asyżu
do Przyjaciół w Polsce*

Fianarantsoa, 30.10.2019

Witaj Ojcie. Minęły już trzy tygodnie, odkąd rozpoczęliśmy nowy rok szkolny. Do tej pory do naszego college'u zapisało się już 670 uczniów [na Madagaskarze każdego roku w prywatnych college'ach uczeń musi się zapisać na kolejny rok szkolny, dokonując jednocześnie wpłaty tzw. *frais genereaux* – na koszty ogólne, administracyjne – przyp. red.].



Uczniowie w szkolnej stołówce.

O tej porze roku, na przednówku, połowa naszych uczniów już uczęszczających do szkoły otrzymuje codzienny posiłek w szkolnej stołówce. Obecnie w każde popołudnie pada obfity deszcz, któremu towarzyszą hałaśliwe grzmoty. Uczniowie bardzo się ich boją, zwłaszcza najmłodsi.

W kilku poniższych zdaniach chcę choć ogólnie naszkicować sytuację, jaka obecnie panuje na Madagaskarze, szczególnie tu, w południowej części kraju, w regionie Fianarantsoa.

PRACOCHLONNA UPRAWA RYŻU

Trudno nie zauważyć, jak szybko wzrasta tu liczba ludności. Rodziny są wielodzietne. Dochody niewielkie albo w ogóle żadne z powodu braku pracy. Większość ludzi, aby przeżyć, uprawia ryż na niewielkich przydomowych poletkach, stosując tradycyjną metodę uprawy. Taka metoda jest bardzo pracochłonna.

Wszystko wykonuje się ręcznie: przygotowanie poletka polega na ręcznym kopaniu ryżowiska szpadlem (zrobionym często własnoręcznie z kawałka blachy). Gleba jest tu bardzo twarda, zeschła wskutek braku opadów, szczególnie pod koniec pory suchej. Zatem nie jest łatwa w obróbce. Do tej pracy potrzebne są przynajmniej dwie osoby, które wyposażone w szpadel silnym uderzeniem wbijają go do niemal skamieniałej ziemi, nacinając ją. Następnie w ten sposób odcięty kawałek „skiby” we dwóch obracają. I znowu wbijają szpadel, nacinają i obracają. To bardzo żmudna praca, wymagająca dużego wysiłku fizycznego. Kapiący nie mogą sobie przy tym pomagać nogą, bo najczęściej są bosi.

Po takim „przekopaniu” powierzchni całego poletka ryżowego, które jest wkoło otoczone glinianą



Przygotowywanie ryżowiska pod uprawę. Praca deptania, rozbijania skib i robienia masy błotnej z wykorzystaniem zaprzęgu byków (zebu).



Przygotowywanie sadzonek ryżu. Fot. L. Z. Michalak.

zaporą, wpuszcza się wodę, która rozmoczy twarde skiby, czyniąc je miękkimi i podatnymi pod dalszą obróbkę. Dlatego do każdego poletka musi być doprowadzona woda z jakiegoś źródła, potoku czy nawet rzeki. Woda doprowadzana jest specjalnie do tego celu wydrążonymi kanalikami.

Kiedy ziemia jest już dostatecznie nasiąknięta wodą, trzeba zamienić ją w masę błotną. Robi się to najczęściej, chodząc, deptając i mieszając błoto nogami. Czynności te wykonują wszyscy członkowie danej rodziny. Jeśli mają w domu byka czy krowę, zwierzęta pomagają w tym, chodząc wraz z ludźmi i deptając. Trochę wcześniej, na małej, wydzielonej działce, trzeba przygotować szkółkę sadzonek ryżu (*pépinière*), tzn. wysiać namoczone przez kilka dni ziarna niełuskanego ryżu (*paddy*), które już wykiełkowały. Wykiełkowany ryż będzie rósł w szkółce przez około



Sadzenie ryżu. Na Madagaskarze to praca głównie dla kobiet.

miesiąc, aż osiągnie odpowiednią wielkość, nadając się do rozsady na ryżowisku.

Kiedy sadzonki ryżu są już dostatecznie duże i masa błotna ryżowiska zostanie dobrze przygotowana i stanie się jednolita, można przystąpić do rozsady. Tym zajmują się najczęściej kobiety. Jest to równie ciężka i żmudna praca. Cały czas brodzi się w błocie, w pozycji schylonej, w słońcu, którego promienie odbijają się od lustra wody i oslepiają. W zależności od jakości ziemi i odmiany ryżu rośliny wsadza się po dwie lub czasem nawet po kilka, w masie błotnej ryżowiska. Trzeba je sadzić także w jednej linii, aby potem było łatwo pielęgnować całe poletko ryżowe.



Obsadzone pola ryżowe.

W odpowiednim czasie trzeba ryżowisko odchwaszczać przez pielenie, „spulchnić”, poruszać błoto między rzędami ryżu (fr. *sarcler*), aby rośliny mogły dobrze się rozwijać, a także by przez czas wegetacji utrzymać odpowiedni poziom wody na ryżowisku. Ale tylko do pewnego momentu, tj. do dojrzewania. Gdy tylko ryż zacznie wykazywać oznaki dojrzewania, nawadnianie musi zostać przerwane.

Zbiór ryżu rozpoczyna się, gdy tylko dwie trzecie górnych części ryżu (kłosa) staną się żółte. Tradycyjnym narzędziem zbierania ryżu jest sierp albo długi nóż (malg. *antsy*). Zebrane łodygi ryżu są rozkładane w suchym, dobrze nasłonecznionym miejscu do wyschnięcia. Kolejna czynność to omlót. Aby oddzielić niełuskane ziarna od łodyg, stosuje się dwie metody: pierwsza to deptanie kłosów ryżu. Mogą to robić ludzie lub zwierzęta. Druga często stosowana metoda to uderzanie niewielkich snopków ryżu o drewnianą belkę. Do tego celu mogą posłużyć także puste, 200-litrowe beczki po oleju.

Kolejną operacją jest odwiewanie omlóconego ryżu. Robi się to, wysypując z pewnej wysokości omlócony ryż, powoli, na wietrze, aby wiatr „zabrał” plewy, a pełne, wartościowe ziarna spadły swoim ciężarem na rozpostartą w dole matę.

Ostatnią czynnością przed gotowaniem ryżu do posiłku jest łuskanie, czyli oddzielanie ziaren ryżu od ich okrywy owocowo-nasiennej oraz zarodka. Ta ostatnia operacja jest najczęściej wykonywana przez kobiety przygotowujące ryż do jedzenia. Niełuskany ryż wysypuje się do wykonanego z drewnianego kłosa młóździerza. Następnie odpowiednio przygotowaną drewnianą pałką uderza się w ziarna znajdujące się w zagłębieniu młóździerza. Po jakimś czasie uderzania zaczynają pojawiać się białe wyłuskane ziarna ryżu. Następnie całą zawartość młóździerza należy odwiać, posługując się specjalnie przygotowanym do tego celu przetakiem.

Jak widać, taki tradycyjny sposób uprawy i przygotowania ryżu do spożycia jest bardzo pracochłonny.

BY JAKOŚ PRZEŻYĆ I UTRZYMAĆ RODZINĘ

Oprócz ryżu Malgaszę uprawiają także maniok (który niestety wyjaławia ziemię) czy ziemniaki, a czasami jakieś inne warzyw. Niektórzy hodują też drobny inwentarz, przede wszystkim drób. Efekty zarówno uprawy, jak i hodowli są zazwyczaj bardzo mierne ze względu na brak odpowiednich narzędzi, nawozów czy fachowej wiedzy i technologii.

Od kilku lat widać coraz częściej pojawiające się przydrożne sklepiki z różnymi przygotowanymi domowym sposobem zakąskami, wyrobami chałupniczej produkcji, owocami czy jarzynami z domowego ogródka. Mieszkańcy szukają bowiem różnych sposobów zarobku, by utrzymać rodzinę, zakupić odzież czy opłacić szkołę dzieciom.

BEZROBOCIE I JEGO SKUTKI

Dużym problemem jest brak pracy dla młodych. Jeśli nie mają żadnego wyuczonego zawodu, żadnego dyplomu, nie mogą nawet sami stworzyć sobie zajęcia, które dałoby im utrzymanie.

Obecnie, ponieważ łatwiej można otrzymać kredyt w rozmaitych Międzynarodowych Organizacjach Pozarządowych (ONG – Organisations Non Gouvernementales – internationales) czy małych parabankach udzielających niewielkich pożyczek dla założenia firmy czy przedsiębiorstwa usługowego, rodzą się nowe problemy. Jednym z nich jest problem umiejętnego zarządzania.

Kolejny problem młodych stanowią dziadkowie i wnuki, którzy są postrzegani jako duże obciążenie dla młodych. Mając niewielkie dochody, muszą się nimi dzielić z innymi członkami swoich rodzin.

Inny problem to tzw. *dahalo* (rabusie). Przez dwa lata był to poważny problem, który uderzył w Wielką



Rodzina malgaska wewnątrz domu.



Rodzina malgaska w czasie posiłku.

Wyspę [Madagaskar – przyp. red.], szczególnie w regionach wiejskich. Powodem jest ogromne bezrobocie. Ludzie nie mając pracy i legalnych źródeł utrzymania, atakują z bronią w ręku innych mieszkańców wioski. Kradną im szczególnie bydło, następnie dokonawszy rabunku, palą ich domy i pozostawiają po sobie tylko zgłiszczą.

Poza tym prawie na całym Madagaskarze mamy obecnie do czynienia ze zjawiskiem wiejskiego *exodusu*. Powodem tego jest oczywiście przede wszystkim bezrobocie, ale także brak bezpieczeństwa na wsi i duży przyrost naturalny wobec niewystarczającej ilości dostępnych gruntów uprawnych. Młodzi, przyjeżdżając do miasta na studia, po ich ukończeniu zostają tam i w mieście szukają pracy. Cała ta sytuacja rodzi wiele problemów, szczególnie ekonomicznych.

UBOŻEJĄCA SPOŁECZNOŚĆ MIEJSKA

Konsekwentnie, z dnia na dzień, wzrasta liczba biednych mieszkańców miast. W mieście dla tych, którzy nie potrafili ukończyć studiów, nie wyuczyli się żadnego zawodu, nie ma pracy, a co za tym idzie – nie ma pieniędzy. W mieście trudno też znaleźć coś do jedzenia (w przeciwieństwie do buszu, gdzie zawsze można znaleźć choćby trochę owoców). Mimo

to większość ludzi młodych, bo ponad 2/3 populacji, nie chce wracać na wieś (do buszu), gdzie życie jest



Rodzina przed domem.

niewygodne, a praca trudna i uciążliwa, gdzie brakuje też wielu miejskich atrakcji i tego wszystkiego, do czego młodzi przywykli w okresie studiów (elektryczność i inne nowoczesne zdobycze cywilizacyjne, jak telefon, komputer, internet). Zatem robią wszystko, aby w mieście pozostać. I tak wpadają w spiralę niekończącego się zła: kradzieże, napady, nieodpowiednie relacje, prostytutka.

U źródła takiego stanu rzeczy stoi zawsze ubóstwo i brak szans na rozwój i postęp, jakie najczęściej mają ich rówieśnicy w krajach wysoko rozwiniętych przemysłowo.

O. Joël Parfait Raderandrainy OFMCap

PODZIĘKOWANIA

CZCIGODNI PAŃSTWO,
WITAM SERDECZNIE, SZCZĘŚĆ BOŻE.

Ojciec Tomaszewski przekazał mi informację o wpłatach, które dokonali Państwo z przeznaczeniem na dzieło, jakie prowadzę tu na Madagaskarze [rewaloryzacja farmy i Centrum Formacji Zawodowej w Tsiroanomandidy – przyp. red.]. Jeden nasz Darczyńca z Pogorza Śląskiego był łaskaw przekazać nam na ten cel bardzo hojną ofiarę 15 000 zł. Za wszystkie te dary wyrażam moje serdeczne „Bóg zapłać”. Nasze misjonarskie dzieła, prowadzone w krajach misyjnych, nie byłyby możliwe, gdyby nie było ludzi o wielkim sercu dostrzegających w drugim człowieku Chrystusa.

W tym roku mijają 33 lata od mojego przyjazdu na Madagaskar i czasem zadaję sobie pytanie,

dłaczego nie było mi dane pracować w pełni jak innym misjonarzom w duszpasterstwie, bo moja praca przez 24 lata ograniczała się do pracy w szkole, a teraz od 9 lat w Centrum Formacji Zawodowej dla młodzieży. Jednak odpowiedź przychodzi szybko, kiedy przypadkowo spotykam już dorosłych ludzi, naszych absolwentów, którzy spontanicznie wyrażają wdzięczność za to, co otrzymali w przeszłości – formację zawodową, doświadczenie w rolnictwie itp. Pozostaje mi tylko powiedzieć za św. Pawłem: „sługą nieużytecznym jestem”, a to, że Bóg mnie wyposażył w zdolności bardziej praktyczne niż intelektualne, to znaczy, że mnie takiego tu potrzebuje.

Obecnie trochę zaniemogłem i potrzebuję czasu na podreperowanie zdrowia. Wiadomo, kilka dni nieobecności kumuluje prace, które trzeba potem nadrobić. Po powrocie czeka mnie przygotowanie kolejnego sezonu, naprawa maszyn, bo jest to przecież centrum rolnicze, ale przede wszystkim muszę poczynić pewne starania i podjąć pewne decyzje, by poprawić warunki pracy. Dzięki wspomnianej hojnej pomocy będę mógł zakupić dodatkowo baterie do zestawu fotowoltaicznego, bo tu używam paneli słonecznych.

Kończąc, jeszcze raz wyrażam wdzięczność, zapewniając o mojej pamięci przed Panem Bogiem, a szczególnie pierwszego dnia każdego miesiąca, we Mszy św. w intencji wszystkich naszych Dobroczyńców.

Szczęść Boże.

Antananarivo, 18 czerwca 2019

O. Tadeusz Kasperczyk SJ,
misionarz na Madagaskarze



O. Tadeusz Kasperczyk SJ nadzoruje budowę cysterny w Centrum Formacji Zawodowej.



LISTY DZIECI MADAGASKAR

LIST Z SIEROCIŃCA SIÓSTR ŚW. JANA CHRZCICIELA W FIANARANTSOA

Fianarantsoa, 19 września 2019 r.

DRODZY OPIEKUNOWIE

Mam nadzieję, że wszyscy macie się dobrze, bo u mnie wszystko jest OK.

Jestem Larissa, podopieczna sierocińca Sióstr św. Jana Chrzciciela w Fianarantsoa. W imieniu wszystkich dzieci, Państwa podopiecznych, z całego serca dziękuję za pomoc, której nieustrudzenie nam udzielacie, za poświęcenie, miłość, otwartość oraz Państwa hojność, z jaką nas bezustannie wspieracie.

Koniec roku szkolnego (2018/2019) był wyjątkowo trochę później niż zazwyczaj, bo 28 sierpnia. W przeddzień, 27 sierpnia, odbył się państwowy egzamin ostatniej klasy szkoły podstawowej. Ci, którzy zdadzą, otrzymają tzw. CEPE [świadcstwo ukończenia szkoły podstawowej – przyp. red.]. Państwowy egzamin po ostatniej klasie gimnazjum miał miejsce w dniach 9–11 września. [Uczniowie, którzy zdadzą ten egzamin otrzymają dyplom ukończenia szkoły średniej pierwszego stopnia – gimnazjum, tzw. BEPC – przyp. red.]. Natomiast egzaminy maturalne będą miały miejsce od 30 września do 8 października. Jestem pierwszą podopieczną sierocińca Sióstr Baptistynek oraz prowadzonej przez nie szkoły, która przystępuje do egzaminu maturalnego. Po maturze chciałabym kontynuować studia na uniwersytecie. Chcę zostać pielęgniarką.

Bardzo się cieszymy, że mieszkamy w domu prowadzonym przez Siostry i możemy się uczyć. Nasze życie się poprawia.

Nie mamy Wam, Drodzy nasi Opiekunowie, wiele do zaoferowania oprócz codziennej modlitwy, którą odmawiamy zawsze razem z Siostrami. Modlimy się za Dobroczyńców naszego sierocińca, za księdza Tomaszewskiego, który dużo dla nas pracuje, oraz za wszystkie osoby nam bliskie i życzliwe. Ściskamy Was serdecznie!

Larissa i wszystkie dzieci z sierocińca Ambatolahy w Fianarantsoa.

Larissa



Fianarantsoa le 19 septembre 2019

chers parrains et marraines,

J'espère que vous allez tous bien, moi je vais très bien. Je suis Larissa, une enfant de l'orphelinat des sœurs de saint Jean Baptiste Fianarantsoa, un nom des tous les enfants, je vous remercie de tout cœur pour votre aide, votre sacrifice, votre amour, votre disponibilité et pour votre générosité de nous soutenir. Cette année scolaire l'école est finie tard. C'était le 28 Août l'examen de CEPE c'était le 27 Août, le BEPC le 09-10-11-12 septembre et le Baccalauréat ce sera le 30 septembre - 03 octobre. Je suis la première à faire l'examen de Baccalauréat. Après le BACC, je voudrais continuer mes études à l'université. Je voudrais être infirmière.

Nous sommes très heureuse de vivre avec les sœurs et de pouvoir étudier. Notre vie s'améliore. Nous n'avons pas de grande chose à vous donner sauf la prière de chaque jour avec les sœurs. Nous prions pour tous les bienfaiteurs et pour père Tomaszewski qui travaille beaucoup pour nous. Nous vous embrassons bien fort! Larissa et tous les enfants d'Ambatolahy Fianarantsoa

Larissa

MALAWI

LIST W IMIENIU SIEROT W PARAFII KASUNGU

Kasungu, 15.11.2019

Kasungu.

Dear

We write this letter to thank you for the help that you are providing for us

In terms of education we are proceeding very well because, we pay school fees in good time. We have all necessities like school uniform, exercise books, school shoes and many things a student need.

We are going higher with our education and working hard is our priority. We will reach our destiny and fulfill our ambition because of your help.

We greet you in the name of Jesus, and it is our prayer that you must live a long life. May God bless you.

Yours faithfully,

Zaitwa Banda,

1	Caloreen	r. Phiri
2	Annerice	Kennedy
3	Patricia	Chisale
4	Yosefe	Nkhata
5	Nkhata	s. Bartholomeo
	Anderson	Phiri
	Yamikani	Phiri
	Harry	Cherewani
	Augustine	J Phiri
	Daniel	Mwale

DRODZY PAŃSTWO,

Piszemy do Was ten list, aby podziękować za pomoc, której nam udzielacie.

Jeśli chodzi o naszą naukę w szkole, to wszystko pomyślnie się nam układa: dzięki ofiarowanym przez Państwa pieniądzom możemy na czas zapłacić chesne. Możemy sobie również kupić wszystko, co jest nam konieczne w szkole, jak mundurki, książki do ćwiczeń, buty [wymagane w szkole, ponieważ dzieci najczęściej chodzą boso – przyp. red.] i wiele innych rzeczy, które są uczniowi w szkole potrzebne.

Robimy postępy w naszej edukacji, a solidna praca jest naszym priorytetem. Dzięki Państwa pomocy na pewno uda nam się zrealizować nasze marzenia i spełnić nasze ambicje.

Pozdrawiamy Was serdecznie w imię Jezusa i modlimy się o to, abyście długo żyli. I niech Bóg raczy Wam pobłogosławić.

Z najlepszymi życzeniami
Wasi

Zaitwa Banda
Caloreen Phiri
Annerice Kennedy
Chisale Patrick
Nkhata Yosefe
Nkhata Bartholomeo
Phiri Anderson
Phiri Yamikani
Harry Cherewani
Phiri Augustine
Mwale Danie

WSPÓŁPRACA W DZIAŁALNOŚCI NA RZECZ MISJI

MISJA W SERCU AFRYKI. WOLONTARIAT: PROJEKT ZAMBIA



O. Grzegorz Dobroczyński SJ w gospodarstwie w zambijskiej wiosce.

Nie jest możliwe w krótkiej formie opisać pełnię przeżyć i emocji związanych z realizacją projektu wolontariatu misyjnego w Zambii, zwłaszcza mając na świeżo w pamięci pierwszy pobyt w sercu Afryki w sierpniu 2019 roku. Ufam, że teksty wolontariuszy, którym towarzyszyłem, stworzą uzupełniającą, ciekawą mozaikę obserwacji. Postaram się więc podzielić ogólniejszymi refleksjami, nadając poszczególnym częściom śródtytuły na literę „i”. Dlaczego? Ponieważ „i” oznacza także zwielokrotnione wyliczanie, aż do sygnalizowania ciągu dalszego bez końca...

Początek mojego udziału w Projekcie Zambia trzeba datować na pierwsze dni lipca 2018 roku. Odbywałem w warunkach domowych toruńskiej rezydencji jezuitów rekonwalescencję po przebytej operacji, gdy w drzwiach pokoju pojawił się niespodziewany gość. Był nim Tadeusz Świdorski SJ, superior z Kasisi. Razem byliśmy w nowicjacie w Kaliszu, przeszliśmy przez studia filozoficzne w Krakowie, po czym nasze drogi się rozeszły, gdyż Tadeusz wybrał drogę misyjną w Zambii. Widujemy się więc rzadko, gdy Tadeusz zjawia się w Polsce w ramach urlopu. Tym razem odwiedził Toruń m.in., by spotkać się z grupą wolontariuszy Projektu Zambia 2018 i nakreślić im plan zadań.

Edycja Projektu z 2018 roku była realizowana bez udziału stałego koordynatora – jezuitę. Również na kolejny rok ze strony jezuitów nie widać było kandydatów ani do opieki dla tworzącej się grupy w Polsce, ani dla towarzyszenia jej podczas sierpniowego wyjazdu do Kasisi. Na te wieści zareagowałem pytaniem: „A co by było,

gdybym to ja się zgłosił?”. Wyczytując w oczach Tadeusza radość i ulgę, nie spodziewałem się, że finalizacja mojej propozycji nastąpi w błyskawicznym tempie i że już od jesieni ubiegłego roku Projekt Zambia 2019 oznaczać będzie dla mnie trwale zobowiązanie i wyzwanie. Niemalże trzeba było poprzestawiać, zarówno w grafiku zajęć, jak i w głowie, jednak po ponad roku z przekonaniem mogę napisać: nie żałuję!

ISTOTA INICJATYWY

Wolontariat misyjny znany jako Projekt Zambia realizowany jest od ponad pięciu lat. Pomysł zrodził się z rozmów Tadeusza Świdorskiego SJ i Grzegorza Bochenka SJ, ekonoma Prowincji Wielkopolsko-Mazowieckiej Towarzystwa Jezusowego. Działalność Jezuickiego Centrum Społecznego „W Akcji”, za które odpowiada ojciec Bochenek, uwzględnia m.in. rozmaite kierunki wolontariatu misyjnego: Indie, Kirgistan, Syberię (Tomsk) i Zambię. Częściowo pokrywa się to z działalnością Biura Misyjnego Prowincji Polski Południowej jezuitów w Krakowie.

Projekt zambijski jest realizowany pod opieką Duszpasterstwa Akademickiego *Studnia* w Toruniu. Chociaż celem jest „tylko” miesięczny pobyt w Zambii, projekt rozciąga się na kilka miesięcy, poczynając od grudnia każdego roku, gdy finalizowana jest rekrutacja. Wolontariusze zaczynają tworzyć miniwspólnotę, która spotyka się regularnie, modli się, dzieli się swoimi doświadczeniami życia i wiary, poznaje elementy ignacjańskiej duchowości. W założeniu grupa ma się integrować i zmierzać do stworzenia jak najlepszej wspólnoty życia i pracy w Zambii. Część praktyczna życia grupy przed wyjazdem to planowanie i organizowanie kwest w parafiach i kościołach rektoralnych czy innych akcji promocyjnych oraz pozyskiwanie sponsorów.

Wszystkie elementy: formacja, przygotowanie sierpniowych działań i sam wyjazd tworzą integralną całość projektu, który jest misyjny, ale też służy pogłębieniu wiary, rozwojowi osobistemu i doświadczeniu Kościoła powszechnego.

Bardzo pomocna jest współpraca z krakowskim Biurem Misyjnym Prowincji Polski Południowej jezuitów i Czesławem Henrykiem Tomaszewskim SJ, który zasila nas materiałami promocyjnymi o misjach zakonu. Pracujemy przecież na rzecz wspólnego dzieła polskich jezuitów – misjonarzy.

W Zambii chodzi głównie o dwa typy aktywności na misji w Kasisi. Pierwszy to rozwój farmy nastawionej na organiczną (bez użycia środków chemicznych) uprawę roślin i hodowlę zwierząt. Jesuit Development Farm to dzieło współtworzone m.in. dzięki środkom finansowym i pracy fizycznej wolontariuszy Projektu Zambia. Drugi to praca w Domu Dziecka prowadzonym przez Siostry Służebniczki Najświętszej Maryi Panny Niepokalanie Poczętej ze Starej Wsi (Kasisi Children's Home).

INNOŚĆ, NIE OBCOŚĆ I ZIMOWA AFRYKA

Kilkumiesięczne przygotowanie do sierpniowego pobytu w Zambii rodziło w głowach uczestników różnorodne wyobrażenia o tym, co ich spotka. W rozmowach i myślach pojawiało się wiele obaw i lęków: Czy wytrzymamy gorący klimat? Jak będzie ryzyko dla zdrowia?



Rytualne tańce na powitanie w Chikuni.

Czy wszystko będzie można jeść i pić? Jak porozumieć się z miejscowymi ludźmi, jeśli okaże się, że nie znają angielskiego?

Uprzedzające wyobrażenia o Zambii i zambijskiej misji upadały zaraz po przyjeździe, inne w ciągu kolejnych dni i tygodni pobytu. Jedno trzeba podkreślić: przy całej egzotyce miejsca, przyrody i kultury inność nie oznaczała obcości.

Już na lotnisku w Lusace, w środku nocy, zetknęliśmy się z przyjacielskimi gestami. Charakterystycznie składane dłonie w pozdrowieniu lub ręce kładzione na piersi w pobliżu serca oznaczały bezsłowne: witamy najserdeczniej. Te same gesty wiele razy kierowali w naszą stronę zupełnie obcy, nieznani ludzie. W zasadzie z każdym też można było porozmawiać po angielsku. Zaś gościnność i atmosfera zgotowane nam zarówno przez współbraci jezuitów, jak i Siostry Służebniczki sprawiały, że każdy czuł się jak w domu.

Pierwszym wyobrażeniem, które upadło, było przeświadczenie, że w Afryce jest zawsze gorąco. Otóż nie,

wbrew obiegowemu określeniu polskich letnich temperatur jako „afrykańskie upały”, czegoś podobnego (prawie) w ogóle nie doświadczaliśmy! W Afryce, nawet w strefie równikowej, bywa naprawdę zimno. Sierpień to pora zimowa. W ostatnich dniach lipca temperatury w nocy spadały w Kasisi do 2 st. C. Wraz z naszym przybyciem temperatury wzrastały do 10–12 st. C. W ciągu dnia natomiast ledwo do ok. 25 st. C i tylko wyjątkowo do 30 st. C. Gdy natomiast słońce przysłaniały chmury, to w połączeniu z chłodnym wiatrem subiektywnie odczuwało się silne ochłodzenie, mimo nawet 20 st. C! Tylko na początku więc, zanim się zaaklimatyzowaliśmy, można było to wytrzymać w krótkim rękawku. Z czasem, ze zrozumieniem dla miejscowych, trzeba było ubierać nawet cieplejszy polar i zawsze długie spodnie. Zresztą nawet wysokie temperatury znosi się w Zambii bez porównania lepiej niż... w Polsce. Suchy klimat, minimalna wilgotność w powietrzu łagodzi odczucie gorąca.

Kolejnym zweryfikowanym wyobrażeniem była obawa o tolerancję żołądków dla miejscowej żywności i wody. Po pierwsze, w supermarkecie, gdzie raz w tygodniu robiliśmy zakupy, można było nabyć wszystkie „zachodnie” produkty, ze znakomitymi dżemami z Polski włącznie. Do refleksji i samoograniczenia skłaniały tylko ceny i świadomość, jak wiele z tych produktów jest nieosiągalne dla ubogich mieszkańców gościnnego kraju.

Po drugie, warzywa i przetwory mleczne były do zdobycia na miejscu, z farmy i to w bezkonkurencyjnej ze sklepami jakości.

Po trzecie, woda do spożycia pochodziła ze studni głębinowej [wywierconej dzięki finansowej pomocy Darczyńców jezuickiego Referatu Misyjnego z Krakowa – przyp. red.] i miała jakość wody mineralnej, więc nadawała się do użycia nawet bez gotowania. Wreszcie, nieustannie byliśmy obdarowywani przez domy zakonne ojców i sióstr w rozmaite produkty. Problemem było raczej ich przechowywanie w dobrym stanie, zwłaszcza że z racji przerw w dostawie prądu nie można było liczyć w 100 proc. na lodówkę.

Również zdrowotnie nie odnotowaliśmy większych problemów, z wyjątkiem nielicznych, dwu-, trzydniowych



Dary ofiarne na Mszy św. jednej z filii Misji Kasisi.

przeziębien! Komary, które mogłyby najbardziej grozić zakażeniem malarią, wskutek panującej suszy i pory zimowej prawie nie dawały o sobie znać. Nieliczne z nich skutecznie odstraszała wszechobecna, rosnąca wokół budynków misyjnych trawa cytrynowa. W czasie odleglejszych wypraw poza Kasisi wystarczało używanie odstraszających owady maści i sprayów.



INKULTURACJA: ZAGADKOWE SŁOWO

Najkrótsza definicja inkulturacji to „dostosowanie metod katechizacji i obrzędów do specyfiki lokalnej kultury”. Pojęcie to odnosi się przede wszystkim do metod duszpasterskich na terenach misyjnych. Jednak określać może także duchowy proces osvajania się przybysza z obcą mu dotąd rzeczywistością życia Kościoła i społeczności chrześcijan. Inkulturacja dla wolontariuszy w Zambii to po prostu proces poznawania lokalnych tradycji, zwyczajów, rozpoznawania kodów kulturowych, doceniania ich oraz adaptacja własnych zachowań do miejscowych uwarunkowań i wrażliwości gospodarzy. Z trudu rozumienia inności rodziło się uznanie dla żywotności zambijskiego Kościoła i dla jego własnych, tak odmiennych często od naszych rodzimych obrzędów liturgicznych, zwyczajów, muzyki i śpiewów.

Pierwszym zderzeniem z odmiennością kulturową, w powiązaniu zresztą ze sposobem uczestnictwa w zgromadzeniu liturgicznym, była kwestia ubioru. Pomimo wcześniejszych informacji na ten temat, nie zawsze łatwo było, zwłaszcza dziewczętom, spełnić całkowicie wymogi *dress code'u*. Rozwiązaniem było zaopatrzenie się w *chitengi*, sięgające ziemi wielobarwne stroje, coś na kształt spódnic wiązanych w pasie, jakie noszą tu tejsze kobiety.

Kolejnym szokiem była sama Msza św., a raczej jej długość i bogata oprawa muzyczno-wokalna. Najkrótsza niedzielna celebracja, w jakiej sam uczestniczyłem, trwała ponad dwie godziny. Było to w kościele parafialnym w Kasisi. Celebracje w kaplicach filialnych, w *outstations*, to świętowanie od trzech do czterech godzin.

Jeśli zbiegnie się to – jak zdarzyło się 4 sierpnia – z udzielaniem kilku sakramentów, można spokojnie kalkulować czas ok. pięciu godzin jako całkowicie naturalny. W tamtym wypadku celebrowano jednak chrzest, bierzmowanie i sakrament małżeństwa. Spoglądającym nerwowo na zegarki przybyszom z Europy można tu dedykować słynne powiedzenie: „Wy macie zegarki, ale my mamy czas”.

Święcenia kapłańskie dziesięciu neoprezbiterów, których byłem świadkiem 6 sierpnia w katedrze w Lusace, trwały ponad cztery godziny. Przyzwyczajeni w Europie i w Polsce do innego tempa musieliśmy zwolnić. Każdy na swój sposób uczył się smakować liturgii afrykańskiej. Imponowało zaangażowanie całego zgromadzenia, śpiewy animowane przez znakomite, wielogłosowe chóry, podchwytywane gromko przez wszystkich, bogactwo akompaniujących instrumentów. Niekiedy jednak wystarczały same bębny, aby wprowadzać właściwy nastrój i podawać rytm do niezbędnego w liturgii tańca. Taneczna procesja wejścia, taniec przy zakończeniu liturgii i odchodzeniu asysty od ołtarza, taniec przy składaniu darów ofiarnych to oczywistość.

Skoro wspominam dary ofiarne, trzeba zauważyć ich symboliczną różnorodność. Kto może, składa ofiarę pieniężną, ktoś inny przyniesie płody ziemi, np. skrzynkę pomidorów, jeszcze ktoś inny zgrzewkę wody mineralnej lub napoju owocowego. Najbardziej zaś efektownym i zarazem bodaj najkosztowniejszym darem jest żywe ptactwo hodowlane, np. kura czy kogut.

Przyznaję, że procesje z takimi darami zawsze mnie wzruszały, bo wyrażały autentyczne pragnienie dzielenia się. Nie tym, co zbywa, lecz tym, co dla darczyńcy jest wartościowe i dlatego godne daru.

Zaiste duchowość dzielenia się i obdarowania to jeden z rysów charakterystycznych tej kultury, który dla nas pozostaje wyzwaniem. Przybывая tam, nie czujemy się „na misji”, ale raczej doświadczamy misyjności tamtejszego Kościoła wobec siebie.

INTEGRALNOŚĆ: MISJA EWANGELIZACYJNA W KOŚCIELE I W ŚWIECIE

Parafia w warunkach polskich kojarzy się ludziom głównie z kościołem i kancelarią. Dla bardzo wielu katolików jest to po prostu miejsce świadczenia usług religijnych, zaspokajania potrzeb, stosownie do religijnego zaangażowania, częściej lub rzadziej. Niektórzy z wiernych zżymają się na formalizm i biurokrację, jakich doświadczają w naszych parafiach. Nie jest natomiast oczywistością, że parafia to wspólnota, tym bardziej że to wspólnota wspólnot.

Zapewne odczucia takie wynikają niekiedy z bardzo luźnego związku z Kościołem i „letniości” chrześcijaństwa danej osoby. Bywa, że są to odczucia rodzące się z faktycznych, a nie tylko wydumanych negatywnych



Członkinie Katolickiego Stowarzyszenia Kobiet w reprezentacyjnych strojach po liturgii święceń kapłańskich kleryków zambijskich w Lusace, 6.08.2019.

doświadczeń z proboszczem lub wikariuszami. Jednak istotnym czynnikiem wpływającym na trwanie takiego stereotypu jest też spuścizna okresu powojennego. Komuniści czynili wszystko, aby Kościół w Polsce zniszczyć. Gdy to się nie udawało, planem „B” było spychanie go do zakrystyjnego zaścianka.

Niedoścignionym wzorem był model sowiecki, gdzie nieliczni koncesjonowani kapłani zwani byli „urzędnikami kultu”. Działalność winna była się więc ograniczać do sprawowania nabożeństw i udzielania sakramentów, być może jeszcze do katechizacji w salkach przykościelnych, których było zdecydowanie za mało. Formalnie zaś organizowanie obozów, wyjazdów i spotkań duszpasterskich poza parafią było nielegalne i co najwyżej tolerowane. Jeśli zaś takowe istniały, zawsze podlegały obserwacji, inwigilacji, niekiedy też uczestnicy doznawali rozmaitych represji.

Te ograniczenia stały się – niestety – normatywne w przypadku wielu parafii także po upadku komunizmu. Plebanie przypominają niekiedy niedostępne bastiony,



Chikuni Mission: zambijska parafia.

a świątynie pozostają pozamykane w ciągu dnia i niedostępne dla zgłodniałych adoracji w ciszy. Katecheza szkolna zaś „wypłukała” z parafii wiele grup młodzieżowych, co duszpasterze zaczęli dostrzegać poniewczasie.

Parafia w Zambii to świat całkowicie inny od naszego. Doskonałą ilustracją i przykładem różnic są barwne tablice informacyjne przy wjeździe do Misji Chikuni, z których dowiadujemy się, że oprócz kościoła na terenie Misji znajdują się dwie szkoły, instytucje edukacji dla dorosłych, instytut kultury, szpitalik, farma rolnicza, piekarnia i warsztaty rękodzieła. Ich istnienie nie oznacza, że placówka misyjna jest firmą gospodarczą czy też inną świecką instytucją. Pierwsi jezuici – misjonarze na tym terenie, ojcowie Joseph Moreau (1864–1949) i Jules Torrend (1861–1936), przyjęli za swe motto zdanie z Ewangelii Janowej: „Ja przyszedłem po to, aby mieli życie i mieli je w obfitości” (por. J 10,10). Albowiem tak, jak nie da się oddzielić duszy od ciała, tak i ewangelizacja nie dotyczy jedynie warstwy duchowej człowieka, lecz ogarnia wszystkie wymiary jego bytowania. Wartości chrześcijańskie, normy i zasady życia domagają się wcielenia w całość egzystencji ludzkiej, w życie kulturalne, społeczne, gospodarcze.

Metoda misyjna jezuitów nigdy nie polegała jedynie na „sakramentalizacji”, ale zawsze na wprowadzaniu w ową „pełnię życia”, która ostatecznie zawiera się w Bogu. Parafia więc żyje wieloraką aktywnością wiernych, a sumą zaangażowania jest starannie pielęgnowana niedzielna liturgia Eucharystii. Skoro wyznacza ona czas świętowania, a w niektórych miejscach celebrowana jest rzadko, to należy do niej podejść z wielką starannością i bez spieszenia się do innych, bieżących spraw.

Pod tym względem więc również pobyt w zambijskich parafiach jest dla nas, Polaków, Europejczyków i ogólnie ludzi Zachodu i Północy, bardzo pouczający.

INNOWACYJNOŚĆ: PORZUCAĆ WYGODNE NAWYKI I „POWSTAĆ Z KANAPY” (APEL PAPIEŻA FRANCISZKA)

Szerokim echem odbiło się i wybrzmiewa nadal słynne wezwanie Papieża Franciszka ze Światowych Dni Młodzieży w Krakowie do porzucenia wygodnej kanapy, wdziania butów nadających się do trudnej wędrówki i odważnego wyruszenia w świat. Młodzi, którzy zabiegają o włączenie do grupy wolontariatu misyjnego, już przez fakt wysłania aplikacji do projektu dokonują wyboru rezygnacji z wygodnych, domowych pieleszy na rzecz konfrontacji z nieznanym. Muszą niekiedy pokonywać nie tylko własne lęki i obawy, ale jeszcze bardziej opory rodziców i dalszej rodziny. Dlatego też pobyt w Zambii jest inspirującym i budującym doświadczeniem spotkań z ludźmi, którzy żyją podobnym duchem.

„Kto stoi w miejscu, ten się cofa” – mówi znane przysłowie. Zambijskie misje zdają się brać to porzekadło



Wolontariusze przy ekstruderze do ziarna, nabytym i wysłanym do Zambii wspólnym wysiłkiem krakowskiego Biura Misyjnego Jezuitów i uczestników Projektu Zambia 2019.

głęboko do serca. I trzeba od razu nadmienić, że tamtejsza mądrość, przy jednoczesnej świadomości ograniczeń środków danych do dyspozycji, sprawia, że postęp i nowatorstwo nie polegają na efekciarskim sileniu się na oryginalność, ale na reagowaniu na rozpoznawane potrzeby ludzi.

Z takiej postawy zrodził się w Chikuni pomysł na parafialne radio, którego pierwszym celem było zarządzenie problemom edukacji. Niedostępność szkół wynikająca z wielu czynników (od ekonomicznych przez odległości do pokonania, braki komunikacji itp.) zmotywowała ojców Andrzeja Leśniarę SJ i Tadeusza Świderskiego SJ do starań o radio. „Nadzieja wbrew nadziei” – bowiem pomysł zdawał się z racji ekonomicznych nie-realny – nie zawiodła i dzisiaj parafialne Radio Chikuni służy nie tylko edukacji, ale jest ośrodkiem kultury, a także ważnym głosem opiniotwórczym. Jest też ciągle otwarte na innowacje, zarówno techniczne, jak i programowe.

Praca ściśle kapłańska tutaj także nie ogranicza się do statycznych form działania według raz ustalonych reguł. Nasze domy zakonne, centra parafialne oferują rozmaite i dostosowywane do aktualnej sytuacji nabożeństwa, dni skupienia, rekolekcje, grupy wsparcia (np. dla dotkniętych HIV/AIDS), wspólnoty Magis i WŻCh, liczne chóry i grupy służby liturgicznej itp. Parafie po prostu tętnią życiem, a kapłan może liczyć na prywatność i chwilę oddechu dopiero mocno po zapadnięciu zmroku, który wyznacza kres wszelkich aktywności.

Rozwój farm rolniczych na gruntach należących do misji nie ma na celu jedynie zaspokajania własnych potrzeb żywieniowych, lecz cele i wznioślejsze, i bardziej dalekosiężne. Z naszej strony można więc i materialnie, i duchowo wspierać np. farmę Kasisi, aby osiągając samodzielność finansową i kolejne etapy rozwoju, stała się i miejscem zatrudnienia, i wzorcem agrykultury, i spichlerzem dla ludności. Aktualnie, po warzywach i drzewach moringi, przychodzi kolej na hodowlę ryb tilapii oraz kurcząt. Rolnictwo i ekonomia w ostatecznym rozrachunku – zgodnie z metodą ignacjańską – są

jednak także jednym ze środków do osiągnięcia celu, jakim jest godne życie i godność ludzi.

Jeszcze jednym przykładem innowacyjnego podejścia do wyzwań zmieniającego się świata są dzieła społeczno-charytatywne, jak np. Dom Dziecka (Children's Home) w Kasisi. Wystrzegać się należy nazywania go sierocińcem. Owszem, dzieci w nim żyjące utraciły z różnych powodów swych rodziców (są to czasem historie dramatyczne), jednak nie czują sieroctwa. Czują się u siebie w domu, na swoim miejscu. Już sam ten fakt najlepiej świadczy o jakości pracy ośrodka, w którym zawsze znajdzie się miejsce dla kolejnego dziecka w potrzebie. Kreatywne zarządzanie potrzebom jest „w krwiobiegu” Sióstr Służebniczek, z siostrą Mariolą Mierzejewską na czele. Zaiste, zapewnić opiekę, wyżywienie i gdy potrzeba także leczenie ponad 250 dzieciom z tego domu (od noworodków po pełnoletnią młodzież) oznacza albo bycie cudotwórcą, albo geniusz organizacji, albo szczęście do mnóstwa darczyńców. Jest wszakże i takie wytłumaczenie, że można być po trochu wszystkim, a na pewno wiele się modlić i ufać Panu Bogu. Wydaje się, że ten ostatni czynnik jest najważniejszym źródłem zambijskiej innowacyjności.



Praca na farmie w Kasisi. Przygotowanie sadzonek drzewka moringi pod nadzorem o. Tadeusza Świderskiego SJ.

I NA KONIEC...

...krótka refleksja porównawcza z misjami w innym miejscu i w innej epoce.

W latach dziewięćdziesiątych, w ramach programu trzeciej probacji, przebywałem w Kalifornii. Dzięki życzliwości gospodarzy odwiedziłem zabytkowe enklawy takich metropolii jak San Francisco czy Los Angeles oraz innych miejscowości. Miejsce takie, zwane do dziś *pueblo* (wioska, osiedle), wytyczone były przez zabudowania misji katolickiej: kościół, budynki mieszkalne i gospodarcze, małe osiedle dla świeckich mieszkańców. Pierwotna, pełna nazwa Los Angeles brzmiała: Pueblo de Santa Maria de los Angeles, a więc nie (jak się dziś po polsku tłumaczy nazwę metropolii) „Miasto Aniołów”, ale „Pueblo Matki Bożej Anielskiej”. Rozwijające się miasto poświęcono Maryi, tak jak San Francisco



W Chikuni Mission.

Biedaczynie z Asyżu. Tak oto misje katolickie zostały na wieki upamiętnione w nazwach: Santa Clara, San Diego, Santa Rosa czy Santa Cruz. Od skromnych początków osiedla misyjnego i pracy franciszkanów, jezuitów czy innych duszpasterzy, z upływem lat i rozwojem gospodarczym, biorą więc początek najważniejsze centra przemysłowe, cywilizacyjne i kulturowe amerykańskiego Zachodu. Potrzeba było czasu i harmonijnego zbiegu wielu czynników warunkujących rozwój.

Czy tak może być z ośrodkami misyjnymi w Zambii, jak np. Chikuni czy Kasisi? Ryzykowna byłaby każda odpowiedź na takie pytanie, a z pewnością nikt nie życzyłby takiego rozwoju, który by generował postęp za cenę utraty wartości duchowego bogactwa zambijskich ludów. Raczej chyba integralnego rozwoju religijnego i ogólnoludzkiego na własnych warunkach i własnym tempem.

Przywołana analogia może więc raczej posłużyć nam do rewizji obiegowego pojęcia misyjności, tego, czym jest misja w aspekcie chrześcijańskim. Nie jest i nie może być „eksportem gotowego duchowego produktu”, który byłby szybką receptą szczęścia doczesnego i wiecznego. Swoisty „kolonializm religijny” nie ma szans. Misyjność i misja to działanie i postawa wzajemnej wymiany, „osmozy dóbr”.

Jestem przekonany, że wolontariat misyjny, będąc realnym wsparciem dla duszpasterzy i placówek w odległych miejscach świata, w które się udajemy, młodym z Polski pozwala także zrozumieć tę zasadę wzajemnego wzbogacania się duchową wymianą dóbr. Po powrocie często mówią: „Nieskończenie więcej otrzymaliśmy, niż byliśmy w stanie z siebie dać”. Od tego spostrzeżenia blisko już do wizji Papieża Franciszka lapidarnie wyrażonej w adhortacji *Christus vivit*. Młodym, do których się zwraca, powiedział: „Ty jesteś misją” (*Christus vivit*, nr 254, 25.03.2019).

O. Grzegorz Dobroczyński SJ, Toruń

ZAMBIJSKIE WSPOMNIENIA – WIDZIANE BEZ „OKULARÓW” MISJONARZA

Patrząc z perspektywy czasu, myślę, że mój wyjazd do Zambii mieścił się w planach Opatrzności, bo od początku Bóg temu jakoś sprzyjał. Jestem pewna, że nikt nie zna nas lepiej niż On i że Bóg spełnia najskrytsze marzenia naszego serca, chociaż niekoniecznie tak, jak sami byśmy sobie to wyobrazili.

DZIECIĘCA FASCYNACJA MISJAMI

Kiedy byłam w szkole podstawowej, czytałam książki o misjonarzach i byłam nimi zauroczona. Przez moment zastanawiałam się nawet, czy jako świecka misjonarka nie wyruszyć w głąb afrykańskiego lądu, ale zabrakło mi chyba odwagi, a potem stwierdziłam, że z takim „bezużytecznym” zawodem jak mój (jestem z wykształcenia plastykiem) na misjach nie ma co robić. Dodam tylko do tego wątku, że na patronkę bierzmowania wybrałam sobie Małą Tereskę, a jedynym atutem, który wtedy za nią przemówił, były słowa „patronka misji”.

Mijały lata, sporo lat... Poznałam ojca Andrzeja Leśniarę. Po kilku latach znajomości zaproponował, bym wraz z jego bratem Henrykiem przyjechała do pomocy

w dokumentacji koncertu muzyki ludu Tonga, który organizują tam od kilkunastu lat. Tak się złożyło, że nie mieli żadnego wolontariusza z Europy na ten czas. Bardzo się ucieszyłam, ale ponieważ niczego w życiu nie robię za wszelką cenę, stwierdziłam: „Boże, jeśli tak chcesz, to znajdź fundusze na bilet” i znalazł... Mój „bezużyteczny zawód” przez cudowne „zbiegi okoliczności” i kupców na moje wyroby zarobił fundusze na wyjazd.



Sklep w drodze do Nakabwe. Ojciec Andrzej Leśniara i jego brat Henryk. Fot. Urszula Gawron.

NA CZARNYM LĄDZIE

Po wyjściu z samolotu poczułam się... jak na patelni. Nie przez panujący upał (był wieczór, temperatura w sam raz), ale przez to, że byłam biała. Sporo w życiu podróżowałam, ale nie byłam jeszcze w takiej sytuacji, żebym tak mocno była widoczna. Z moim kolorem skóry nie dało się „zgubić” w tłumie. Jak na osobę, która nie lubi się za bardzo wyróżniać, poczułam się trochę nieswojo. Dziwne doświadczenie – byłam inna.

Pierwsza noc spędzona w Kasisi minęła szybko. Gdyby nie jaszczurki i pająki biegające po ścianach, byłoby całkiem normalnie. Henryk „wyczyścił” swój pokój z intruzów, a ja z pajakami dałam sobie spokój, mając nadzieję, że jeśli szczelnie wcisnę moją moskitierę pod materac, to żadne z tych stworzeń nie zakłóci mojego snu. I tak też się stało. Rano dowiedzieliśmy się od ojców, że trzeba się cieszyć z takich „gości”, bo one zjadają komary. Do końca pobytu uwzględnialiśmy te rady.



Główna droga krajowa. Fot. Urszula Gawron.

MSZA WZRUSZEŃ

Nazajutrz w Kasisi niedzielna Msza św., razem z dziećmi z sierocińca prowadzonego przez Siostry Służebniczki Najświętszej Marii Panny Niepokalanie Poczętej, była bardzo mokra... Bynajmniej nie przez deszcz, który o tej porze roku tam nie pada, ale przez wzruszenia. Dobrze, że siostra siedząca obok podarowała mi chusteczkę do nosa. Ile mogłam, przelykałam łzy, ale w pewnej chwili zaczęły się już wylewać. Dzieci były wspaniałe! Takie grzeczne, takie piękne w swoim modlitewnym zaangażowaniu i takie biedne w swoim sieroctwie i chorobach...

Nie byłam sama w tych wzruszeniach, bo Agnieszka, która przyjechała z mężem jako wolontariuszka leczyć dzieciakom zęby, wyszła jeszcze bardziej spłakana. Trudno to opisać. W Polsce miałam kontakt z dziećmi ze świetlic środowiskowych, z uczniami w trudnych sytuacjach rodzinnych, ale widząc to wszystko, nie było łatwo powstrzymać łez. Wszystko wzmacniał jeszcze kontrast między szczęśliwą, radosną, beztroską czteroletnią córeczką Agnieszki, o włosach jasnych jak len, a tymi maluchami, które nie miały blisko rodziców i trzymały się nawzajem za ręce. Dwa różne światy...

Siostry podziwiam. Z takim spokojem, miłością i zaangażowaniem opowiadały o swojej pracy, że byłam pewna Bożego dzieła i misji w tym miejscu, bo po ludzku ciężko byłoby mieć siłę na tyle biedy i cierpienia. A to dopiero początek...

W DRODZE DO CHIKUNI

Po obiedzie pojechaliśmy dalej, do miejsca naszego przeznaczenia, którym było Chikuni. Europejczycy trudno byłoby uwierzyć, że 150 km można pokonywać na głównej drodze krajowej, w normalnych warunkach, przez cztery godziny, ale tak było. Fakt, że fragmentami droga się kończyła, szła obok i przypominała klepisko, był dla mnie jeszcze zrozumiały, u nas też czasami coś się naprawia i są objazdy. Większy dyskomfort wywoływała u mnie jazda od lewej do prawej strony jezdni, bo były takie dziury, że w trosce o samochód robili tak wszyscy. Trzeba było tylko zdążyć przed nadjeżdżającym z naprzeciwka tirem. Początkowo mocno się zastanawiałam, czy jest tam prawo- czy lewostronny ruch. Po południu dotarliśmy do miejsca przeznaczenia, na szczęście w całości.

Wieczorem wraz z dziewczętami z Mukanzubo zaczęliśmy przygotowywać banner z hasłem koncertu. Tutaj należą się wyjaśnienia. Napis długi na kilka metrów należało napisać na płótnie i pomalować emulsją. Tu nie ma poligrafii ani wielkoformatowego ksero. Ostatnio takie rzeczy robiłam 26 lat temu, będąc na Ukrainie, kiedy musieliśmy zrobić reklamy dla teatru, mając tylko szary papier i kawałki ceraty dla zabezpieczenia „reklam”. Tutaj było całkiem nieźle. Ojciec Andrzej zainstalował rzutnik i to bardzo ułatwiło pracę. Przyznaję, że mój całkiem „bezużyteczny misyjnie” zawód też jakoś się przydał.



Szkoła tańca Mukanzubo w Chikuni. Fot. Urszula Gawron.

SZKOŁA RADIOWA W NAKABWE

Następnego dnia pojechaliśmy do szkoły misyjnej w Nakabwe. Wprawdzie rok szkolny jeszcze się tam nie zaczął, ale ojciec Andrzej chciał wymienić zużyte akumulatory, by po wakacjach szkoła radiowa sprawnie mogła funkcjonować. Mijany pejzaż był niesamowity. Suche trawy, suche drzewa, sucha ziemia. Czasami po

drodze ni stąd, ni zowąd wyrastały jakieś zabudowania, ale bez wiosek – to tu, to tam, po europejsku bez żadnej logiki. Koło domów biegające dzieci albo bawiące się na pomysłowej huśtawce zrobionej z suchego konara wsadzonego między uschłe drzewo. Dzieci szczęśliwe, mimo że bose, umorusane, bez zabawek, drogich ubrań. Będąc tam, po raz kolejny upewniałam się, że szczęście jest bardziej stanem umysłu niż rzeczy zewnętrznych.

Wszyscy mijani po drodze tubylcy na samochód Radia Chikuni i ojca Andrzeja reagowali bardzo entuzjastycznie i przyjaźnie – i ci przy wybudowanych przez misjonarzy studniach, i ci wyrabiający w lesie cegły z gliny, i ci z przydrożnego „sklepu” zrobionego z czterech pali, przykrytego suchą trawą i matami.

Nakabwe. Stoi budynek. Jedna klasa plus pokój nauczycielski z dziurawym dachem, biurkiem, jednym krzesłem i półką na podręczniki. Dla tutejszego nauczyciela wystarczy, jednak z mojej perspektywy, patrząc okiem belfra z 15-letnim stażem, ubogo, bardzo ubogo...

Spotkanie z nauczycielem i jego rodziną było bardzo sympatyczne. Kiedy ojciec Andrzej wykonywał drobne naprawy w szkole, my z Henrykiem oglądaliśmy typowe obejście zambijskiej rodziny – domek do spania, kuchnia, prysznic, toaleta i zagroda dla zwierząt. Po całym obejściu plątają się zrelaksowane kozy, kury, perliczki i świny, szukając kawałka cienia na odpoczynek. Spichlerz na kukurydzę stoi na drewnianych palach, by chociaż trochę ochronić ziarno przed intruzami.



Rodzina nauczyciela z Nakabwe wraz z Autorką reportażu i zdjęć umieszczonych w artykule p. Urszulą Gawron.

Między tym wszystkim dużo dzieciaków. Niektóre wystraszone i nieśmiałe, chowają się za drzewa i zagrodki, inne bardziej odważne nawiązują dialog. Po niedługim czasie już „się znamy” i zaczyna się koncert. Z jednego „domku” dzieci wynoszą zrobioną przez siebie perkusję – istne cudo! Stare, zdezelowane bębny (widać, że przebyły długą drogę), z naciągniętymi workami po nawozach? A może po kukurydzy? Dzieci bardzo muzykalne, grają naprawdę nieźle. Rytmu zupełnie innego niż u nas. Następuje wymiana, Henryk siada za perkusją – też sporo potrafi w tej dziedzinie. To było chyba obopólne ubogacenie.



Dzieci w drodze do Nakabwe. Fot. Urszula Gawron.

Po koncercie zaproszenie na obiad... Dostaliśmy *nshimę*, czyli kukurydziane ciasto (mój tato robił coś takiego w domu z grysiku, jak jechał na ryby). *Nshimę* zjada się tylko prawą ręką. To było dla mnie trudne, bo nie znoszę jeść rękami i w domu nawet kurczaka jem nożem i widelcem, ale dałam radę. Do tego kozina – przyrządzenie jej nie przypominało znanych mi z Europy smaków, ale gościnność mieszkańców była ogromna. Czas spędzony w Nakabwe upłynął bardzo miło, a na odjezdnym ojciec Andrzej dostał w dowód wdzięczności... koziołka. Meczął całą drogę związany na pace z tyłu samochodu, ale zabrać trzeba było, żeby mieszkańców nie urazić.

Jadąc, mijamy jeszcze wałęsające się stada bydła, które lekko tu nie mają, bo same muszą się wyżywić. Nikt im tu siana do żłobu nie nałoży, a trawa o tej porze roku przypomina naszą słomę. Idą powoli jedna za drugą, wychudzone, z cielećkami pod nogami, uśpione chyba tutejszym słońcem. Trudno odróżnić z daleka byki od krów, bo mleka prawie nie mają i wymion nie widać. Pomijając rasę, która zdecydowanie nie przypomina polskiej krowy, ja i tak zawsze starałam się obchodzić je z daleka (były wszędzie), nie dowierzając „łagodnemu usposobieniu”. Wspominając z dzieciństwa wakacje na wsi, krowa była zawsze duża, silna, niebezpieczna, a rogi miała nie od parady. Wielokrotnie widziałam, jak bez bata trudno je było opanować.



Kobiety przy studni w drodze do Nakabwe. Fot. Urszula Gawron.

TRUDNE SPOTKANIE

Wracając, pojechaliśmy jeszcze w jedno miejsce. Do tej pory obrazy, które tam widzę w pamięci, wywołują łzy. Izba – dom może trzy na trzy metry, chyba bez okien, bo światło wpadało tylko przez otwarte drzwi, niebieska, odrapana, kury chodzą po betonowej wylewce, zachowując się, jakby to był kurnik... Pod ścianą na metalowej pryczy, bo do europejskich standardów łóżka już dawno ten przedmiot nie pasuje, leży człowiek – bez rąk, bez nóg, z uśmiechem od ucha do ucha i kieruje do nas serdeczne słowa. Nie mogłam się rozplakać, żeby nie sprawić mu przykrości i to było bardzo, bardzo trudne. Jedynym jego światem jest słuchanie radia, a kuzynka poświęciła mu swoje życie, kiedy zachorował na polio i po prostu uschły mu kończyny – bez niej nie miałby szans w tych realiach. Materac, wcale nie antyodleżynowy, obłożony zwykłym workiem, jaki u nas stosuje się w ciepłarniach, poniszczony, zapadnięty.

Nie! Wszystko w środku krzyczało we mnie nie! Ale to była prawda. Co więcej, kiedy wyszliśmy stamtąd, ojciec stwierdził, że ten człowiek nigdy nie narzeka, zawsze jest uśmiechnięty, serdeczny, nie ma depresji, nie chce eutanazji tylko dlatego, że „życie sobie inaczej wyobrażał”... Oni się cieszą każdym dniem, bo jutro tam nie jest takie pewne, bezpieczne i oczywiste jak u nas. Są w pewnym stopniu wolnymi ludźmi przez swoją ubogość – mają wszystko u Boga, chociaż nie do końca pewnie są tego świadomi. Na odchodnym do naszego meczącego na pace koziołka dołącza jeszcze kura. Trzeba zabrać...

Kruchość życia i nieprzewidywalność jest tam codziennością. Jednego wieczoru idziemy oglądać gwiazdy. Cudne! Niebo czarne jak węgiel, a Mlecznej Drogi w Polsce nigdy tak wyraźnie nie widziałam. Pierwsze, co nam się rzuca w oczy, to fakt, że księżyc nie jest jak sierp bokiem, ale leży jak kołyska – taka geografia na żywo. Bardzo odkrywcze to było. Po chwili z ciemności wyłania się postać, w ogóle jej nie było widać. Idzie boso, ubrana na ciemno. Ojciec mówi, że sporo ukąszeń węży się tu zdarza. Hmm, zaczęłam bardzo uważnie patrzeć, po czym stąkam. Dla potwierdzenia za kilka dni przed



Targ w Chikuni. Fot. Urszula Gawron.

naszym domkiem jakaś wylinka rano, z ogona chyba, leżała, a przed koncertem, na placu, z całego gada. Sфотографowałam. Z tego wynikało więc, że jednak jakieś węże musiały koło nas przechodzić...

Jednego dnia, po świeże, zamówione bułki (rarytas w tym miejscu) poszliśmy do ośrodka, w którym pracują chorzy na AIDS. Mają piekarnię. Ojcowie wybudowali tam piec chlebowy i w ten sposób ci ludzie zarabiają na życie, funkcjonują w społeczeństwie. Była tam też szwalnia, w której powstawały bardzo wymyślne torby eksportowane prosto do Włoch, szyte według europejskich trendów. Ładne.



Koncert Radia Chikuni – dziewczęta z Mukanzubo. Fot. Urszula Gawron.

PRZYGOTOWANIA DO KONCERTU

Przygotowania do koncertu trwały, panowie montowali sprzęt, a ja nie byłam za bardzo potrzebna, więc poszłam do szkoły tańca Mukanzubo popatrzeć, jak ćwiczą. Kiedy tam dotarłam, wszyscy chyba mieli sjęstę i wypoczywali w cieniu. Dziewczęta wplatały we włosy sztuczne warkoczyki i plotły *cornrows*, upiększając swoje fryzury na koncertowe występy, ale jak zapytałam, czy będą dziś jeszcze ćwiczyć tańce, to po piętnastu minutach się zorganizowali. Głupio mi trochę było... Miałam wrażenie, że odtanńczyli kilka tańców tylko dla mnie, bo po tylu próbach znali już przecież wszystko świetnie. Podziękowałam.

Dwa dni koncertu to wielkie święto w krainie Tonga. Niektórzy szli kilka dni, by w nim uczestniczyć. Przed koncertem na obrzeżach placu powstawały stragany – sklepiki robione przez wszystkich członków rodziny z drewnianych patyków i suchej trawy, na których co lepsze kucharki sprzedawały swoje wyroby, zarabiając na roczne utrzymanie dzieci. To niewiarygodne, że za czterysta dolarów można przeżyć cały rok!

Dla mnie, patrząc okiem fotografa, targ był cudownym miejscem. Nie jestem typem fotoreportera, brakuje mi do tego tupetu, jednak wiele osób pozwalało na pstryknięcie zdjęcia, dzieciaki same się ustawiały, a potem chciały zobaczyć – dzisiejszy sprzęt na szczęście na to pozwala. Na targu było prawdziwe życie, kopalnia

kadrów, kolorów, cudownych ludzi i świetnych tematów. Każda z tych osób, przez swoją odmienną i egzotyczną dla mnie urodę, była pięknym modelem do portretu. Zarówno niemowlaki na plecach mam, przywiązane chustą, ze spłaszczonym nosem objającym się o ich plecy, łobuzujące dzieciaki, które wymyślały z nudów dziwne dla mnie i niezrozumiałe zabawy, jak i osoby starsze z twarzą pooraną swoją historią i życiem, wszyscy byli fascynujący.

TAŃCZĄCE KROWY

Sam koncert był intensywną pracą. Zespół za zespołem, grupa za grupą, wokalista za wokalistą – kategorii było kilka. Trudno było coś zjeść, iść do toalety, usiąść, bo tak szybko wszystko się zmieniało, że bałam się stracić jakieś cenne kadry. I tak od 9 do 17 przez dwa dni. Mimo bolącego karku od ciężaru sprzętu i bolącego nadgarstka, pięknie było i zostało po wydarzeniu jakieś dwa tysiące, a może dwa i pół tysiąca zdjęć. Kilkutysięczny tłum, nie zważając na upał i kurz, bardzo żywo uczestniczył w koncercie.

Główną niespodzianką tej edycji miał być pokaz tańczących krow, które podobno przez 5 dni były gnane do Chikuni. Wszyscy byli bardzo ciekawi tego tańca, a mnie, widząc, co się dzieje, po europejsku sparaliżował strach, kiedy krowy, a raczej byki otumanione przez gwar i napierający tłum spłoszyły się i nie zważając na komendy mistrza ceremonii, czyli pastucha, zaczęły go gonić przez cały plac... Pampeluna!

Cały tłum zafalował gnany ciekawością finału akcji i nagle nawet drzewa zappełniły się ludźmi. Jedyne, co mi przyszło wtedy do głowy, to: „Boże, żeby nikogo nie stratowały!”. A ojciec Andrzej stwierdził potem, że dla uczestników to była największa frajda i atrakcja tego koncertu.

O samym koncercie można by było napisać oddzielny artykuł, bo ilość strojów, cudownie rytmicznych tańców i przedziwnych instrumentów wykonanych często po prostu z odpadów była niewiarygodna. Nawet robiąc zdjęcia, nie dało się nie ruszać nogą, biodrem czy głową,



Tańczące krowy. Koncert w Chikuni. Fot. Urszula Gawron.



Koncert w Chikuni. Fot. Urszula Gawron.

bo ta muzyka wypełniała wszystko dookoła. Było pięknie i bardzo radośnie!

BEZ ZŁOTYCH ORNATÓW

Następnego dnia niedzielną Mszę św. ojciec Andrzej odprawiał w Singonya. Nie wiem, czy oni mają tam jakąś ustaloną godzinę Mszy, ale miejscowa ludność zbierała się na nią przez półtorej godziny. W tym czasie zobaczyliśmy jeszcze miejsce po starym kościele założonym przez ojca Józefa Moreau, pioniera tutejszych misji. Kiedy ojciec Andrzej poszedł spowiadać, my z Henrykiem obchodziliśmy okolicę.

Dziewczęta ze służby maryjnej zamiatały obejście koło kościoła miotłami z suchej trawy. To był tam taki poranny rytuał. Zastanawiało nas, po co zamiatać ziemię. Ojciec wyjaśnił, że w obejściu musi być czysto, żeby było widać węże – to od razu przemówiło. Za kościołem dziewczęta przygotowywały tańce, nawet się załapałam na kilka kroków, zupełnie to nie przypominało naszych rytmów „dwa na jeden”, ale było do opanowania. Miejscowi cały czas z różnych stron nadciągali, wyłaniając się z zagajników. Przed Mszą, kiedy skończyły się spowiedzi, ojciec wyszedł z kościoła zaprosić, a może zwołać wszystkich do środka.

Kościół się wypełnił. Niczym nie przypominał naszych polskich, nawet najuboższych kaplic. Ściany niebieskie, odrapane, okna są, ale po części bez szyb, na ścianie wisi tylko niewielki krzyżyk, świeczki ledwo stoją w lichtarzykach – takie krzywe, a zamiast fresków na suficie, zwykła falista blacha. Ministranci w potarganych albach i pelerynach, a sam kapłan bez złotych ornatów i alby z rękawami w kantkę. Nic to, mimo że kościół z osiem razy mniejszy od mojego parafialnego, to śpiewy i zaangażowanie wiernych osiem razy większe. Tam nie było „niemych obserwatorów”, oni przyszli się modlić. To było niesamowite. Niestety w naszych kościołach coraz rzadziej widoczne...

W czasie czytań ojciec Andrzej, jak anioł w swojej białej albie na tle niebieskiej, odrapanej ściany, siedział na zwykłej ławce z ministrantami, obok niego czarna

walizka – cała zakrystia misjonarza. To było bardzo wymowne. W walizce mszał angielsko-tonga, wino i opłatki. Wystarczy. Potem procesja z darami. Bardzo mnie wzruszyła. Każdy podchodzi z tym, co ma. Po chwili oprócz drobnych monet pod ołtarzem znalazły się woreczki z orzeszkami arachidowymi i kukurydzą. Na przeżycie te dary serca raczej by nie wystarczyły, ale intencje są piękne. Coś, co mnie tam niesamowicie wzruszało, to fakt, że oni praktycznie nic nie mając, potrafili się jeszcze tym NIC dzielić. Dla Europejczyka szok! Po Mszy, kiedy ojciec nas przedstawił, ustawiła się ponownie kolejka, żeby się z nami przywitać. To było miłe.

Potem pojechaliliśmy nad sztuczne jezioro znajdujące się w tej okolicy, by wspiać się na najbliższą górę. Wędrówka trwała wprawdzie około piętnastu, może dwudziestu minut, ale widok z góry był przepiękny. Poczulałam się trochę jak w *Pożegnaniu z Afryką*, patrząc na bezkres tego suchego łądu, który ożywiała jeszcze pozostałość zieleni na drzewach. Na tej górze ojciec odprawia rekolekcje, to takie miejsce odosobnienia. Stoi tam kapliczka, już pusta niestety, ale ojciec powiedział, że na czas rekolekcji przynoszą tam ze sobą Matkę Bożą.

Roślinność Afryki mnie zaczarowała. Intensywność barw i kwiatów nawet o tej porze roku była niesamowita, a kształty niektórych owoców były bardzo zaskakujące. Przysnąłem, że po tym doświadczeniu znacznie bardziej dostrzegam też nasze piękne drzewa, których do tej pory nie widziałam, bo były dla mnie takie powszednie. To dziwne, że trzeba było przejechać dwadzieścia tysięcy kilometrów, by na nowo odkryć nasze akacje, magnolie, lipy i głogi.

ZACHÓD SŁOŃCA NAD ZAMBEZI

Na koniec jedziemy do Livingston. Będąc już tutaj, trudno nie zobaczyć największych wodospadów Afryki noszących imię angielskiej królowej Wiktorii. Piękne!!! Jeśli w raju będą wodospady, to na pewno takie jak w Zambii. Pierwszy raz w życiu widziałam, żeby tęcze – najpiękniejszy znak przymierza Boga z człowiekiem – tak swobodnie „spacerowały” po kroplach wody i to w takich ilościach! Pięknie! Jest taki rodzaj piękna, który jedynie ciszą da się wyrazić, bo niedoskonałość języka może go tylko umniejszyć. To właśnie było to.

Livingston było dla nas bardzo łaskawe, bo wszystkie zwierzęta w parku zechciały się nam pokazać – antylopy, guźce, bawoły, hipopotamy, zebry, słonie, żyrafy i krokodyle, a nawet trzy nosorożce. Duże te zwierzęta, a słoni bardzo się bałam. Zwłaszcza tego, który „wyrosł” przed nami wieczorem, gdy wracaliśmy z parku, kiedy po wieczornej kąpieli wychodził z rzeki Zambezi. Dobrze, że będący z nami strażnik, trzeźwo zareagował i kazał od razu szybko wycofać samochód. Tutejsze słonie nie są przyjazne i co roku giną przez nie ludzie. Są bezwzględne, nie znają żadnych przeszkód. Tutaj można by się odwołać do klasyki kina i filmu *Ścieżka słoni*

– w tych regionach to niestety prawda. Dowodem jest fakt, że bananowiec, który rósł koło naszego domu w Livingston, po kilku tygodniach po naszym powrocie do Polski, z tego, co pisał ojciec Andrzej, przestał istnieć, bo słonie były głodne, a żadne ogrodzenia i druty pod prądem nie stanowią przeszkody, skoro „słoni chce”.

Ojciec pokazał nam także bardzo drogie hotele dla białych „oligarchów”. To było trudne doświadczenie. Świadomość, że za tydzień pobytu w tym hotelu dla jednej osoby można by wybudować studnię głębinową dla kilkudziesięciu albo kilkuset mieszkańców wiosek, była bardzo smutna. Do tej pory widzę mężczyznę leżącego na miękkich sofach, niczym z Luwru, który zasnął nad czytaną gazetą, popijając pewnie bardzo drogą kawę, i tego człowieka z polio... Trudno nawet o komentarz.

Zachód słońca nad Zambezi był za to bardzo uroczy. Po raz drugi „włączyło mi się” *Pożegnanie z Afryką*. To także kategoria nie do opisania. Trzeba po prostu tam być i zobaczyć...



Livingston – zachód słońca nad Zambezi. Fot. Urszula Gawron.

To, co napisałam, to oczywiście tylko maleńki wycinek doświadczeń, które miałam okazję tam przeżyć. Kiedy wyjazd do Chikuni powoli się urzeczywistniał, zaczęłam się bać. Byłam pewna, że stamtąd nie wrócę cała... Uruchomił mi się europejski racjonalizm. A przeżyłam szczepienia, co nie zawsze jest normą, nie miałam tam żadnych problemów zdrowotnych, nie ugryzł mnie żaden komar – temu oczywiście pomagaliśmy, jak się dało, pryskając się „odstraszaczami”, ani żaden wąż (kobra zawitała do zagród Chikuni w szkole Mukanzubo, jak byliśmy w Livingston, ale dziewczyny ponoć były bardzo dzielne i obyło się bez ofiar w ludziach), nie roztrzaskał się też nasz samolot...

Strach jest rzeczą ludzką, podobno tylko głupcy niczego się nie boją. Jednak pytając Boga o własną drogę, można go przewyciężyć, nawet jeśli przez jakiś czas droga ta ma prowadzić przez Czarny Łąd. Te dwa tygodnie u misjonarzy były jak chwila w moim życiu, ale będąc tam nawet tylko przez chwilę, nie sposób po powrocie być tym samym człowiekiem...

Urszula Gawron

MISYJNE KONTA BANKOWE

REFERAT MISYJNY TOWARZYSTWA JEZUSOWEGO PROWINCJI POLSKI POŁUDNIOWEJ

Mały Rynek 8, 31-041 Kraków
www.misyjnym-szlakiem.pl
e-mail: procmisspme@gmail.com
misje@misyjnym-szlakiem.pl



NR KONTA W POLSCE:

50 1240 2294 1111 0010 2222 3570 (ogólne, wpłaty w PLN)
33 1240 4650 1111 0010 8560 2716 (wpłaty tylko dla „Adopcji Serca” w PLN)

Dla wpłat spoza Polski (wpłaty w USD):
Bank: PKO SA III O/KRAKOW; swiftcode: PKOPPLPW
IBAN: PL52 1240 2294 1787 0010 2300 2206

NR KONTA W CHICAGO:

Nazwa Banku: Polish & Slavic Federal Credit Union
Routing # (czyli numery banku): 2260-8202-2
Nazwa konta: THE POLISH MESSENGER, Account # 1363413
Dopisek: na jaki cel misyjny

Wpłaty czekami można wysłać na adres:
The Polish Messenger of The Sacred Heart
4105 N Avers Ave
Chicago, IL 60618
Dopisek: MISJE

REKLAMA

ZAPRASZAMY NA PIELGRZYMKI



18-29.06.2020

MEDJUGORJE rocznica Objawień Matki Bożej – MARIAZELL – ZADAR – MOSTAR – MEDJUGORJE

18-25.07.2020

MEDJUGORJE **1250 zł TANIO!!!**

15-31.07.2020

SANTIAGO DE COMPOSTELA – pieszo i autokarem do św. Jakuba potwierdzone certyfikatem

29.07 – 9.08.2020

MEDJUGORJE Festiwal Młodych

8-19.08.2020

ROSJA: Moskwa – Tomsk – koleją do Irkucka – Bajkał

24-27.08.2020

MEDJUGORJE **1250 zł TANIO!!!**

21-30.09.2020

GRUZJA z wypoczynkiem w Batumi

ALFA-TUR Biuro Turystyczno-Pielgrzymkowe ■ ul. Horbaczewskiego 29b ■ 54-130 WROCŁAW
tel./fax +48 71 352 23 19 ■ +48 601 788 190 ■ e-mail: info@alfa-tur.pl ■ www.alfa-tur.pl

pokwitowanie

Wpłata na konto:
REFERAT MISYJNY
TOWARZYSTWA JEZUSOWEGO
PROWINCJI POLSKI
POŁUDNIOWEJ
Mały Rynek 8, 31-041 Kraków

50124022941111001022223570

kwota

imię i nazwisko / nazwa zleceniodawcy

adres:

Tytułem

NIP

Wyrażam zgodę na przetwarzanie w celach marketingowych moich danych osobowych, które przekazuję dobrowolnie.
czytelny podpis:

opłata

podpis

nazwa rachunku odbiorcy

REFERAT MISYJNY
TOWARZYSTWA JEZUSOWEGO PROWINCJI POLSKI POŁUDNIOWEJ
Mały Rynek 8, 31-041 Kraków

nr rachunku odbiorcy

5012402294 1111001022223570

W P P L N

nr rachunku zleceniodawcy (przelew) / kwota słownie (wpłata)

imię i nazwisko / nazwa zleceniodawcy

imię i nazwisko / nazwa zleceniodawcy od.

tytułem

tytułem od.

opłata:

pieczęć / data / podpis zleceniodawcy

06

odcinek dla banku / odbiorcy